WYDAWNICTW KOŁA KIELCZAN ~~TOM VI.~~

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

TOM V

ZA 1932 ROK

KIELCE—WARSZAWA 1933
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN



PLAC KATEDRALNY W KIELCACH

Zdjęcie z aeroplanu.

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

WYDAWNICTW KOŁA KIELCZAN TOM VI.

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

TOM V

ZA 1932 ROK

KIELCE—WARSZAWA 1933
NAKŁADEM KOŁA KIELCZAN

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.

ZWIĄZKI ZIEMI KIELECKO-SANDOMIERSKIEJ Z BAŁTYKIEM

W opinji potocznej, w głosach uczonych i poetów naród polski głoszony jest powszechnie jako naród wybitnie kontynentalny. Znakomity pisarz i głęboki znawca polskiej psychiki, Stefan Żeromski, mówi o „lądowej duszy" Polaków. Tytan pracy i zarazem temperamentu naukowego wśród uczonych polskich, Aleksander Brückner, upiera się przytem, że nie tylko człowiek ale i klimat w Polsce ma posiadać charakter kontynentalny, co może już budzić większe wątpliwości. Tej powszechnej opinji o Polakach nie zamierzamy się sprzeciwiać. Nie byłoby to słusznem tem bardziej, skoro zamierzamy mówić o tej z ziem polskich, która do najsilniej kontynentalnych chyba należy. W toku naszych rozważań wypadnie nam conajwyżej ubocznie wskazać na to, że taki a nie inny stan rzeczy był wynikiem określonych warunków, lecz że w pewnych chwilach zachodziły odmienne możliwości, które nie zniknęły i dzisiaj. Mimo to stosunki z Bałtykiem, choć przeważnie kończące się tylko na samem wybrzeżu, były i brały w nich udział nawet ziemie stosunkowo od morza oddalone, jak dawne województwo sandomierskie włącznie z naszym regjonem kieleckim. Mówiąc o związkach ziemi kielecko - sandomierskiej z Bałtykiem nie mamy na myśli faktów jednostkowych, lecz ogólne o charakterze mniej lub więcej masowym. Dzieje tych związków dadzą się przedstawić jedynie na tle historji południowego wybrzeża Bałtyku wraz z przyległym kontynentem.

W epoce słowiańskiej, poprzedzającej utworzenie się państwa polskiego, ludy słowiańskie zajmowały południowe wybrzeże Bałtyku na całej przestrzeni od Szleswiku na zachodzie do ujścia Wisły na wschodzie. Dopiero za deltą wiślaną zaczynały się już ludy prusko - litewskie. Taki stan rzeczy w szczególności stwierdza dla IX wieku anglosaski podróżnik Wulfstan. Zachodnia Słowiańszczyzna, z której następnie miało się wyłonić państwo polskie, miała więc rozległe i silne podstawy na wybrzeżu. Nie była ona jednak wówczas pojęciem politycznem

a tylko etnicznem. Między szczepami mieszkającemi na wybrzeżu a szczepami mieszkającemi w głębi lądu nie było jeszcze bliższych związków, tak samo zresztą jak, do czasu przynajmniej, i same szczepy lądowe nie tworzyły zwartej całości.

W połowie X wieku powstało rozległe państwo piastowskie. Wśród plemion lądowych, bardziej do siebie zbliżonych trybem życia, koncentracja nastąpiła szybciej. Na wybrzeżu państwo to musiało walczyć w ciągu półtora z górą wieku o przełamanie odrębności plemiennej ludności nadmorskiej, z czem łączyła się także walka z utrzymującem się tutaj uporczywie pogaństwem. W początkach zwłaszcza tego okresu, za Mieszka I i Bolesława Chrobrego, i w końcu okresu, za Bolesława III Krzywoustego, państwo polskie stanęło silnie na wybrzeżu, które od ujścia Odry do ujścia Wisły wynosiło 351 kilometrów, czyli blisko pięć razy tyle co w dzisiejszem państwie polskiem (76 km. bez Helu). Trudności, jakie się wyłaniały, w utrzymaniu wybrzeża, były zupełnie inne niż później. Zagadnienie stosunku do wybrzeża nie było jeszcze zagadnieniem stosunku do obcych ras i wpływów. Wpływy niemieckie nie przekroczyły dolnej Odry przed drugą połową XII wieku. Drużyny skandynawskie, które osiadały na południowem wybrzeżu Bałtyku zwłaszcza w X wieku, nie odegrały trwałej politycznej roli, a również w składzie etniczym ludności nie pozostawiły widocznych śladów, jak nas o tem przekonywują stosunki z początku XII wieku. Znaczniejszy wpływ wywarli natomiast Skandynawowie pod względem kulturalnym. Nie sądzimy, ażeby można przypisywać t. zw. kulturze wikingskiej zupełną oryginalność. Mimo to można przyjąć, że wytworzyli oni pewien typ kultury pochodnej, której najbardziej charakterystyczną cechą był jej związek z morzem. Wśród Słowian południowego wybrzeża Bałtyku odnajdujemy wiele cech podobnych do kultury wikingskiej. Byli oni, można powiedzieć, ostatnimi wikingami Bałtyku. Ludność mieszkająca na wybrzeżu trudniła się handlem morskim, który na sposób wikingów skandynawskich łączyła z korsarstwem. Najruchliwsze ośrodki korsarsko-handlowe znajdowały się w pobliżu ujścia Odry i o nich też najlepiej jesteśmy poinformowani.

Od lądu Pomorzanie bronili również swojej samodzielności i tylko siłą można ich było zmusić do uległości. Nasi pierwsi Mieszkowie i Bolesławowie pociągali do podboju Pomorza rycerstwo wszystkich dzielnic. Najwyraź-

niej to występuje w pierwszej części panowania Bolesława Krzywoustego. Sandomierz był wówczas jedną ze stolic obok Krakowa i Wrocławia. Bolesław III, gdy rozpoczynał swe walki pomorskie, opierał się głównie na dzielnicach południowych. Stąd szło rycerstwo i lud wojenny, którzy docierali aż do słowiańskich grodów pomorskich. Pod Kołobrzegiem, jak podaje nasz najstarszy kronikarz Gall Anonim, śpiewało rycerstwo Bolesławowe:

Naszym przodkom wystarczały ryby słone i cuchnące,
My po świeże przychodzimy, w oceanie pluskające!
Ojcom naszym wystarczało, jeśli grodów dobywali,
A nas burza nie odstrasza, ni szum groźny morskiej fali;
Nasi ojce na jelenia urządzali polowanie, —
A my skarby i potwory łowim, skryte w oceanie!

(tłum. *R. Grodeckiego*).

Nie potrzeba kruszyć kopji za autentycznością piosenki Gallowej, ale mimo to jest ona odbiciem pewnych nastrojów współczesnych. Sandomierzanie, zwłaszcza ci od Łysogór i Kielc, a więc z kraju nawskroś lesistego, mogli do siebie zastosować całą zwrotkę Gallową.

Na wyprawach wojennych, jakkolwiek ponawianych ale stosunkowo krótkotrwałych, kończyły się jednak stosunki mieszkańców południowych części Polski z morzem. Nie było przedewszystkiem żywszych stosunków gospodarczych. Poszczególne dzielnice żyły jeszcze życiem mocno wyodrębnionem. Wprawdzie istniał już handel nietylko lokalny, ale również odleglejszy i to bodaj już od czasów przedhistorycznych, a skupiał się na targach i pod grodami, rozmiary jego były jednak, jak się zdaje, szczupłe i nie zdołał on jeszcze przełamać wyosobnienia poszczególnych części kraju. Tryb zaś życia Sandomierzanina trudniącego się rolnictwem czy też łowiectwem i innemi pożytkami leśnemi, odbiegał bardzo znacznie od trybu życia pomorskiego rybaka i korsarza.

W epoce dzielnicowej wpływ polityczny Polski upada na Zachodniem Pomorzu już z końcem XII w. Na Pomorzu Wschodniem, jakkolwiek to pozostaje nadal etnicznie polskiem i słowiańskiem, cofa się znacznie w ciągu XIII w. i wzmaga się ponownie dopiero pod sam koniec stulecia za Mszczuja II, gdy ten zaczyna szukać oparcia u książąt wielkopolskich przeciwko Brandenburczykom i wreszcie przekazuje swą dzielnicę Przemysłowi II. Natomiast sto-

sunki gospodarcze po części ożywiają się nawet. W XII w. na całem wybrzeżu dawnego obszerniego Pomorza rozpowszechniają się polskie monety i miary. W XIII w., już tylko na Pomorzu wschodniem, szereg klasztorów polskich posiadał własne rybołówstwo na wybrzeżu, utwierdzone przywilejami księcia pomorskiego. W stosunkach tych udział brały jednakże głównie północne ziemie polskie. Sandomierzanie, rzecz wątpliwa, czy w tym czasie docierali wogóle do wybrzeża morskiego. Zaczynając od XIII w. w stosunkach nad Bałtykiem rozpoczynał się już jednak przewrót, który wpływem swym miał sięgnąć daleko wgłąb kontynentu. Wyodrębnienie gospodarcze i polityczne Bałtyku dobiegało końca, a jednocześnie zmieniały się formy obrotu gospodarczego właściwe panującej tu dotychczas kulturze słowiańskiej i skandynawskiej. Niejednokrotnie w dziejach przewrót gospodarczy łączył się z przewrotem etnicznym, gdy mianowicie obca narodowość przynosiła ze sobą formy życia bardziej rozwinięte. W tej roli wystąpili nad Bałtykiem kontynentalni Niemcy, kórzy dawniej już pozostawali pod wpływem starszych kultur śródziemnomorskich. Miasta nowego typu, zakładane były przez Niemców, a powstawały na ziemiach dotychczas słowiańskich.

W drugiej połowie XIII w. doszło już do powstania związku miast niemieckich nad Bałtykiem i morzem Północnem pod nazwą Hanzy. Znaczenie handlowe miast hanzeatyckich polegało głównie na rozwinięciu na wielką skalę wymiany towarów między zachodnią i wschodnią Europą. W Polsce wpływ tego handlu, głównie w formie tranzytu, dał się odczuć już w drugiej połowie XIII w. i to w stopniu szczególnie silnym w południowej Polsce ze względu na drogi handlowe prowadzące na Węgry i na Ruś. W naszej dzielnicy w szczególności Sandomierz miał w tym ruchu odegrać znaczną rolę. Większe jeszcze widoki otwierały się na przyszłość.

Nowe zjednoczenie państwa za Władysława Łokietka ponownie prowadzi naszych Sandomierzan z klasy rycerskiej a także duchownej aż nad Bałtyk. Musimy bowiem pamiętać, że dzielnicę sandomierską łączyły z Łokietkiem dawne i ścisłe związki. W szczególności zaś po powrocie Władysława z wygnania sandomierskie pierwsze stanęło przy nim. Nic więc dziwnego, że dzielnica ta dostarczyła ludzi blisko stojących samego księcia, wykonawców jego woli i jego zwykłych funkcjonarjuszy. W tym charakterze docierają też Sandomierzanie aż do odległego

Pomorza. Znani nam są np. kanonicy kolegjaty sandomierskiej (Gunter dziekan, Piotr scholastyk i Czesław kustosz), którzy w otoczeniu Władysława Łokietka przybyli na Pomorze i wskutek prezentacji samego księcia uzyskali od biskupa kujawskiego prebendy kościelne na Pomorzu. Dwaj z nich z rozkazu księcia pobierali czynsze od ludności pomorskiej, a jeden był prokuratorem, t. j. zastępcą i urzędnikiem gospodarczym księcia. Rycerze sandomierscy nieśli przedewszystkiem służbę rycerską księciu. Jako przykład służyć mogą rycerze Michał i Tomisław. Michał przebywał na Pomorzu w ciągu całych rządów Łokietka. Był w Gdańsku, gdy część grodu gdańskiego powierzona została sojuszniczym wojskom krzyżackim, z czego ci korzystając zagarnęli następnie gród i miasto (1308). Następnie Michał na czele oddziału polskiego niósł pomoc załodze pomorskiej w Świeciu, lecz wobec przewagi krzyżackiej nic nie mógł zdziałać. Tomisław z Mokrska z rodu Nagodziców był również na Pomorzu z księciem, którego był podczaszym. Pobyt jego tutaj był jednak chwilowym. Następnie wrócił w sandomierskie, lecz stąd znosił się z księciem, gdy ten przebywał na Pomorzu. W dalszej swej karjerze Tomisław doszedł aż do godności wojewody sandomierskiego. Zasługuje na uwagę, że tak licznie jak Sandomierzan spotyka się współcześnie na Pomorzu chyba tylko jednych Kujawian, których ziemia leżała jednak znacznie bliżej Pomorza a w dodatku Kujawy i Pomorze łączyły granice tej samej djecezji kujawskiej. Obecność Sandomierzan na Pomorzu tłumaczy się przedewszystkiem związkiem osobistym, który ich łączył z księciem. Zajmowali oni tutaj stanowiska nienazbyt wysokie ale mimo to odpowiedzialne i wymagające zaufania. Po zajęciu Pomorza przez Krzyżaków przeważnie powrócili w swe rodzinne strony.

W XIII a zwłaszcza XIV wieku dostęp Polski do morza coraz to bardziej był tamowany przez ekspansję polityczną żywiołu niemieckiego. Pomorze polskie nad Wisłą znalazło się zrazu w pośrodku między dwoma państwami niemieckiemi, tj. między Zakonem krzyżackim i Brandenburgją. W początku XIV w. Krzyżacy, korzystając z trudności, jakie nasuwał okres łączenia się dawnych dzielnic, zagarnęli Pomorze. O dopływie ludności z głębi lądu nad wybrzeże nie było mowy, a nawet przeciwnie zaraz po zaborze Pomorza liczni wierni Łokietkowi Pomorzanie uchodzili lub musieli uchodzić do Kujaw i innych dzielnic pozostających w posiadaniu Piastowi-

czów. Mimo to stosunki gospodarcze nie przerywały się, jakkolwiek w tym rozwijającym się nadal handlu głównie tranzytowym dominującą rolę odgrywało mieszczaństwo zniemczonych miast pruskich. Drogi handlu bałtyckiego nie omijały również województwa sandomierskiego. Droga handlowa z Torunia na Ruś biegła od Inowłodzia przez Wąchock, Opatów i Sandomierz. Znane są też jej odgałęzienia na Skrzynno i Iłżę, lub nieco późniejsze przez Radom, Skaryszów i Iłżę. Droga z Węgier ku Bałtykowi prowadziła od Jędrzejowa (w województwie krakowskiem) przez Kielce i Żarnów a dalej ku Sulejowowi. Poważniejsze trudności w tym ruchu powstały w pierwszych latach Władysława Jagiełły, gdy doszło do wojny handlowej z Zakonem niemieckim i miastami pruskiemi. W tym czasie jednak przygotowywały się już nowe zmiany nad Bałtykiem, będące w ścisłym związku z przemianami dokonującemi się w głębi kontynentu.

Już w okresie pokojowym za Kazimierza Wielkiego położone zostały podstawy pod przyszły rozwój polityczny i gospodarczy ziem polskich. Za Jagiellonów podstawy te zostały zachowane i powiększone. W walkach za Władysława Jagiełły i Kazimierza Jagiellończyka, prowadzonych nad Bałtykiem, Sandomierzanie niejednokrotnie brali udział, a zwłaszcza na początku w generalnej rozprawie pod Grunwaldem. Zamożne i kulturalne rycerstwo sandomierskie razem z krakowskiem cieszyło się w tym czasie dobrą sławą wojenną. Nawet później w czasach wojny trzynastoletniej pruskiej z południa Polski wychodzili najlepsi przywódcy wojskowi, ale zainteresowanie ogółu sprawą pruską bardzo osłabło i stało znacznie niżej, aniżeli np. w Wielkopolsce. W chwili powrotu dawnego Pomorza do Polski na czoło zaczęły się wysuwać sprawy gospodarcze.

W stosunkach handlowych polsko - bałtyckich najznaczniejsze miejsce miał odtąd zająć własny wywóz, zrazu przedewszystkiem drzewa i innych towarów leśnych a następnie dopiero zboża. W związku zaś z rozwojem kultury materjalnej i wzrastającemi potrzebami ludności w parze z wywozem szedł przywóz towarów przemysłowych i luksusowych do Polski. Dla spławu wielką rolę zaczęły odgrywać rzeki. Nida już w r. 1447 wymieniona została wśród rzek należących do króla, na których wszystkim bez ograniczeń dozwolona jest żegluga z towarem, tak w dół jak w górę rzeki. W XV w. na wielką skalę prowadzono już eksploatację lasów, najsilniej na

dzielnicowem Mazowszu, które było bliżej Gdańska, ale także i w południowych dzielnicach. Dla tej części kraju Sandomierz stał się jakgdyby główną ekspozyturą Gdańska. Mianowicie w Sandomierzu utrzymywał Gdańsk specjalnego urzędnika, który zajmował się brakowaniem drzewa. Obok drzewa szedł Wisłą i jej dopływami inny towar leśny, mianowicie popiół (potaż) i smoła. Po wojnie trzynastoletniej i przyłączeniu Prus Królewskich do Polski (1454 — 1466) handel wywozowy, który nie napotykał obecnie przeszkód w granicach politycznych, wzmógł się. Z końcem XV w. na pierwsze miejsce wysunął się wywóz zboża, a w tem przedewszystkiem żyta, który rośnie następnie w XVI w. Według danych, jakie podaje St. Kutrzeba, wywóz zboża dochodził za Zygmunta Augusta do 20.000 łasztów (1.200.000 korcy) i wyżej. W pierwszej połowie XVII w. handel zbożem z Polski dochodził do swego maksimum, a mianowicie sięgał w przecięciu 100.000 łasztów (6.000.000 korcy albo 250.000 tonn). Wywóz zboża objął znaczne połaci kraju, jednakże nie całą Polskę. Były to więc ziemie nad środkową Wisłą wraz z Sandomierskiem i Bugiem. O wiele mniej wywożono już np. z krakowskiego województwa oraz z tych części kraju, które nie leżały w dorzeczu Wisły. Gdybyśmy więc całą ówczesną Polskę podzielili na dwie części, z których jedna była aktywną a druga pasywną w handlu gdańskim, to województwo sandomierskie znalazłoby się w pierwszej kategorji. Z wyrobów przemysłu polskiego tylko jeden miał pewne znaczenie w spławie a mianowicie płótno. Wywoziło je w XVI w. paru kupców krakowskich i sandomierskich, wśród tych zwłaszcza jeden Sandomierzanin (Bartłomiej Szerny). Tak samo w wieku XVII wśród miast, które ciągnęły zyski z wiślanego handlu zbożem, obok Kazimierza nad Wisłą (woj. lubelskie) należy wymienić przedewszystkiem Sandomierz. Mimo więc znacznej odległości od Bałtyku województwo sandomierskie a więc jego szlachta i mieszczanie w Sandomierzu wzięli znaczny udział w tych stosunkach z wybrzeżem. Musimy zaś pamiętać, że handel zbożowy Wisłą prowadzili w przeważnej części sami producenci. Szlachta sandomierska docierała więc ze swem zbożem do Gdańska — wiemy to choćby z pamiętników Paska — ale też tylko do Gdańska. Zresztą i sami Gdańszczanie nie wychodzili już wówczas na morze, lecz odstępowali towar obcym kupcom, głównie Holendrom, zadawalniając się rolą pośrednika w sprzedaży, zresztą bardzo ko-

rzystną i przysparzającą Gdańskowi bogactw, na których wyrastała również jego swoista kultura. Szlachta się bogaciła na eksporcie zboża, co zauważyli również i obcy. Ale mimo, że był to handel naprawdę bałtycki, z samym Bałtykiem szlachta się bliżej nie zapoznała. Ponieważ zaś w Gdańsku, mimo jego ścisłych z Polską więzów gospodarczych i jego niezaprzeczonej choć dość egoistycznie rozumianej wierności do Polski, utrzymał się w pełni dominujący żywioł niemiecki, który nie tylko nie ulegał polskości, ale w dalszym ciągu germanizował napływające do miasta żywioły polsko-kaszubskie, — wobec tego żywioł polski nie zbliżył się zupełnie do morza. Jak w handlu morskim, tak i w marynarce wojennej, którą tworzyli niektórzy królowie jak Zygmunt August i Władysław IV, wśród stopni oficerskich przeważał żywioł obcy. Nic więc dziwnego, że w ciągu trzechsetnego z górą władania wybrzeżem pogłębiała się jeszcze „lądowość" duszy polskiej. Łączyło się to z wybitnie agrarnym charakterem ówczesnej kultury polskiej. Z Polski szedł towar, w szczególności zboże, ale z Polski nie przybywał kupiec, który mógłby wziąć w posiadanie gospodarcze brzeg morski.

Świetne czasy wywozu zboża skończyły się w drugiej połowie XVII w. z powodu klęsk wojennych. Województwo sandomierskie, mimo że zdala od granic położone, było również silnie przez te klęski dotknięte. Wywóz zboża z Polski podniósł się znowu w w. XVIII. Zajęto się też żywo usprawnieniem sieci wodnej. Przypominano dawne przepisy ustawowe, wzbraniające stawiania młynów i jazów na rzekach spławnych, zajęto się czyszczeniem rzek i sejm przeznaczał na to znaczne kwoty (1768 r.). Podstawą nowych zarządzeń miały być opisy rzek. Czacki sporządził taki dla Nidy, a więc rozpoczęto ostatnią pracę od województwa sandomierskiego *).

W dobie rozbiorowej nie było widoków na zbliżenie się od morza. Mimo że pomyślność wybrzeża zależała w dalszym ciągu od utrzymania stosunków gospodarczych z głębszym kontynentem, polityka rządu pruskiego zmierzała w przeciwnym kierunku, ażeby osłabić związek Gdańska z ziemiami polskiemi.

Dopiero w okresie odbudowy państwa polskiego za-

*) St. Kutrzeba, Wisła w historji gospodarczej dawnej Rzeczypospolitej polskiej. Warszawa, b. d. Tow. Krajoznawcze. Monografja Wisły, zesz. XI. str. 9, 10.

gadnienie wyzyskania dostępu do morza i silnego usadowienia się na wybrzeżu stanęło ponownie przed narodem polskim. Szczupłość naszego wybrzeża nie powinna nas zrażać. Główna siła kultur morskich, jak powiada Fr. Bujak, leży nie w masie, lecz w ruchu. Siła woli, przedsiębiorczość i potężne wyładowanie energji cechują wszystkie społeczeństwa żeglarskie, wyćwiczone w walce z najpotężniejszym żywiołem, a te same cechy charakteru muszą wyrobić w sobie ci, którzy wstępują dopiero na tę drogę.

W dążeniu do morza wśród innych dzielnic nie powinno również zabraknąć naszej ziemi kielecko - sandomierskiej. Choć oddalona od Bałtyku, to jednak wraz z całą Polską była nieraz i jest obecnie zainteresowana w utrzymaniu i wyzyskaniu naszego dostępu do morza.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

O DAWNYM RAKOWIE*)

Referat niniejszy będzie nawiązaniem do artykułu mego, ogłoszonego w poprzednim „Pamiętniku Koła Kielczan" p. t. „Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce". Nie mam zamiaru trudzić czytelników mniej lub więcej nudnemi opisami systematów i teoryj pedagogicznych, o jakich była mowa we wspomnianym artykule. Zaniechawszy więc pedagogji, chcę parę słów powiedzieć o czem innem, nieco rozszerzając a nieco poprawiając sąd, wypowiedziany mimochodem o wartości społeczeństwa polskiego w w. XV, pod względem jego moralności i charakteru.

Istnieje w polskiej kartografji historycznej ciekawa mapa układu Henryka Merczynga, zatytułowana: „Dawna Polska pod względem kościelnym ewangielickim". Gdy się rzuci okiem na tę mapę, uderza charakterystyczne skupienie zborów różnowierczych, na tej mapie uwidocznionych, w trzech grupach zasadniczych: wielkopolskiej, litewskiej i małopolskiej. Między Wielkopolską a Małopolską, na terenie dawniejszych województw: mazowieckiego, płockiego, rawskiego, łęczyckiego, sieradzkiego, na mapie tej widnieje jedna wielka biała plama, na której błąka się parę zaledwie miejscowości, posiadających zbory różnowiercze. Mazowsze, nietknięte przez reformację, dochowało wierności Kościołowi Katolickiemu. Dla nas w tej chwili ciekawe jest ugrupowanie zborów małopolskich, położonych na terenie Kieleckiego. Cały obszar Kieleczczyzny, tworzący nieregularny czworobok między Wisłą a Pilicą, usiany jest gęsto zborami, tworzącemi najgęściejsze skupienia w południowej zwłaszcza części Kieleczczyzny, położonej nad rzekami Nidą i Szreniawą, ową luterską rzeką, jak ją zwano w w. XVI, nieściśle zresztą, bo raczej, z dzisiejszego punktu widzenia, na miano rzeki kalwińskiej zasługuje. Jedynie tylko północno-wschodnia część kieleckiego czworoboku, obszar Gór Świętokrzyskich, pozbawiona jest zupełnie zborów. Najbliższemi ogniskami reformacji od Kielc są: Raków, Chmielnik,

*) Artykuł niniejszy został przygotowany w formie odczytu na zjazd kielczan w r. 1931 i spadł z porządku dziennego wskutek braku czasu.

Chęciny od południa, Krasocin, Żarnów, Miedzna od zachodu, Skrzyńsko, Szydłowiec od północy. Wschodnia granica opiera się nieomal o Wisłę, nad którą leżą kalwińskie miejscowości zborowe: Lipsk, Sienno, Tarłów i Ćmielów. Ta pustka zborowa w bezpośrednich okolicach Kielc staje się dla nas zrozumiała, skoro weźmiemy pod uwagę okoliczność, że tylko właściciel wsi dysponował w w. XVI czy XVII, jakiego wyznania pleban ma odprawiać nabożeństwo w kościele wsi jego, a Kielce przecież z okolicznym Bodzentynem, Tarczkiem i in. należały do biskupów krakowskich, którzy obronili rdzeń Świętokrzyszczyzny przed naporem bijących weń od południa fal zalewu kalwińskiego.

Na południu Kieleczczyzny już w początkach rozwoju reformacji i szerzącego się tam gwałtownie kalwinizmu zaczyna się wytwarzać i to w łonie Kościoła Kalwińskiego — niebezpieczna dlań sekta religijna, popularnie zwana arjańską, w literaturze zaś naukowej nosząca nazwę Antytrynitarskiej, jako że przeciw głównemu dogmatowi chrześcijańskiemu o św. Trójcy występowała. Ilościowo zresztą propaganda antytrynitarska wydała dość słabe rezultaty. Na całym obszarze Kielecczyzny na paręset zborów kalwińskich naliczyłem zaledwie pięć arjańskich, a to w Czarkowach nad Nidą, Krzelowie, Krassowie, Chmielniku i Rakowie. Zbór w Czarkowach, założony w 1600 r. przez znanego w dziejach antytrynitaryzmu Hieronima Moskorzewskiego, posiadał rzecz rzadką podówczas: bibljotekę publiczną. Kaznodzieił w nim Jan Stoiński, syn Piotra Statorjusza z Pińczowa, później zaś znany historyk reformacji Stanisław Lubieniecki. Chmielnik, posiadający zbór arjański od roku 1563, t. j. od zarania dziejów antytrynitarzy polskich, gościł w w. XVI synody arjańskie. Zbór w Krzelowie ufundowany został przez Stan̄. Cikowskiego, w Krassowie zaś — przez Gosławskich. Znany jest powszechnie zbór w Rakowie, który zasługuje na bliższe omówienie.

Wiadomości historyczne o tem mieście czerpie się prawie jedynie z historyka reformacji Stanisława Lubienieckiego.

Miasto to, które zasłynęło w w. XVI jako „Rzym arjan", powstało nagle, jakby za dotknięciem różdżki czarodziejskiej. Czarodziejem był kasztelan żarnowski Jan Sieniński, sam zresztą kalwin, który je założył i nazwał od herbu swej żony Gnoińskiej Warnia Rakowem w 1569 r. na zakupionych przez siebie wielkich obszarach gruntu,

nieurodzajnych wprawdzie, bo piaszczystych, lecz zamienionych rychło pod pracowitą ręką osadników na oazę materjalnego dobrobytu i kultury umysłowej. W przeciągu lat kilkunastu powstały okazałe domy, obszerne ogrody, liczne fabryki i warsztaty rzemieślnicze. Najznaczniejsze z nich to fabryki sukna i papieru, dostarczanego na potrzeby miejscowej drukarni i wywożonego do innych miast polskich. Drukarnia rakowska, założona w pięć lat po powstaniu miasta, rozrosła się pod kierownictwem Aleksego Rodeckiego w poważną oficynę drukarską, jedną z ważniejszych w dziejach drukarstwa polskiego, dostarczającą licznych t. zw. druków rakowskich, o których cenie wiedzą dzisiaj dobrze bibljofile polscy. Nowe miasto jest poniekąd fenomenem w Polsce wieku XVI i XVII, a to z tego względu, że industrjalizacja jego postępuje w szybkiem tempie w tych czasach, które są właśnie okresem upadku przemysłu i handlu miast polskich i mieszczaństwa polskiego.

Równolegle z rozwojem materjalnym postępuje rozwój umysłowy Rakowa, który po rychłym upadku Pińczowa zajmuje jego miejsce w świecie różnowierczym polskim. W r. 1602 założono tu sławną szkołę średnią, do której uczęszczało koło tysiąca uczniów, rekrutujących się nietylko z Polaków i nietylko z arjan, gdyż do tej znakomitej uczelni posyłali swych synów nawet zdecydowani katolicy i ściągali do Rakowa po naukę Ślązacy, Węgrzy i Siedmiogrodzianie. Raków zyskał sobie w świecie naukowym pochlebne imię Athenae Sarmaticae, jak ongi Pińczów.

W obrazie świetnego rozwoju tego miasta, rozwoju materjalnego i umysłowego znajduję jedną ciemną plamę. W imię prawdy historycznej stwierdzić oto należy, że rozwój ten dokonany został przy znacznym współudziale rzemieślników, fabrykantów, kupców i uczonych pochodzenia niepolskiego, głównie niemieckiego. Dość wspomnieć, że na stanowiskach rektorów i nauczycieli gimnazjum rakowskiego widzimy samych prawie Niemców: Ostorodów, Volkeliusów, Smalciusów, Crelliusów, Stegmanów i t. d. i nielicznych stosunkowo Polaków: trzech Lubienieckich, Piotra Mrzkowskiego i Jonasza Szlichtynga, głośnego potem teologa antytrynitarskiego. Miasto jednak polonizowało się w szybkiem tempie; siła atrakcyjna polskości, którą nieraz da się zaobserwować w dziejach kultury polskiej, działała mocno i w tym czasie w stosunku do żywiołów obcych.



KS. TEODOR CZERWIŃSKI
Zdjęcie z czasu wojny.

Wspomniałem wyżej, że Raków rychło zaczęto nazywać „Roma arianorum"; nazywano go również „pestilentissimum arianorum receptaculum". I słusznie. Wyrosł on na stolicę tego wyznania w Polsce, na siedlisko władz arjańskich, na miejsce stałych ich zebrań synodalnych, licznie obsyłanych; tak np. synod z r. 1618, liczący 459 delegatów gmin, raczej na sejm wyglądał, nie na zjazd nielicznej stosunkowo sekty antytrynitarskiej w Polsce.

Ilością zwolenników, imponować antytranitarze nie mogą. Nie w ilości jednak zborów i adherentów tkwi rozmach organizacyjny i wartość dziejowa tego odłamu ruchu religijnego, lecz w jakości tej organizacji. Sekta antytrynitarska, stanowiąca dalszą fazę ewolucyjną kalwinizmu, jest z nim spokrewniona racjonalistycznem nastawieniem w stosunku do dogmatyki chrześcijańskiej z tą od kalwinizmu różnicą, że to racjonalistyczne nastawienie występuje w antytrynitaryzmie w daleko ostrzejszej, skrajniejszej formie, usiłującej zburzyć resztę dogmatów chrześcijańskich, głównie zaś dogmat św. Trójcy, przeciw któremu zbuntował się rozkiełznany rozum nowych radykałów religijnych w Polsce.

Nie dziwi nas fakt powstania racjonalistycznego kalwinizmu na gruncie rasy francuskiej, która zdobędzie się w dwa wieki później na okres klasyczniejszego jeszcze racjonalizmu, bo filozoficznego. Nie dziwnym jest również fakt transplantacji kalwinizmu na grunt polski. Dziwniejszem wydać się może jednak zjawisko, że antytrynitaryzm, jako bezpośrednia kontynuacja kalwinizmu, nie rozwinął się w jego naturalnej ojczyźnie Francji czy Szwajcarji, lecz w ojczyźnie przybranej — Polsce.

Tłumaczenie przyczyn tego zjawiska dziejowego, często spotykane w literaturze historycznej, że Polska stała się ojczyzną najradykalniejszej tezy religijnej, jako kraj najwięcej tolerancyjny, wydaje mi się tłumaczeniem niewystarczającem, jednostronnem. Oczywiście, negować nie można, że tolerancja polska odegrała tu poważną rolę, poważną, lecz nie decydującą. Łatwo zrozumieć rozwój antytrynitaryzmu w całkowicie harmonijny systemat logiczny na gruncie polskim i, co ważniejsze, w polskich głowach, wtedy, jeżeli się weźmie pod uwagę, że Polacy byli twórcami nietylko najradykalniejszego systematu religijnego w dziejach świata do wieku XVII, lecz również autorami najradykalniej pojętego ustroju politycznego. Najwięcej liberalna teza religijna polska, jak i najwięcej

liberalny ustrój polityczny polski zrozumiałe są jedynie na gruncie wybujałego indywidualizmu polskiego, rwącego zzewnątrz narzucone więzy i obalającego wszelki autorytet wszystko jedno jaki: kościelny czy państwowy, papieski czy królewski.

Ta właśnie odśrodkowość działania energji społeczeństwa polskiego to typowa funkcja całości naszych dziejów, znajdująca w dziedzinie politycznej plastyczny wyraz w naczelnych instytucjach politycznych Polski: określeniu kompetencji sejmu, jako przedstawicielstwa społeczeństwa, i władzy królewskiej, jako autorytetu, zwalczanego przez to społeczeństwo, funkcja, dodajmy, fatalna i tragiczna dla losów ostatecznych tego społeczeństwa.

Ten oto jaskrawy radykalizm dogmatyki antytrynitarskiej, oparty na wyciągniętych do ostateczności konsekwencjach wywodów rozumowych, znoszący całkowicie autorytet panującej dotychczas nawet u kalwinów dogmatyki chrześcijańskiej, stanowi ważną cechę zwolenników tego kierunku, raczej już filozoficznego, niż religijnego. Słusznie powiedziano o antytrynitarzach, że zburzyli oni fundamenty tego gmachu, którego dach rozebrał Luter, a mury — Kalwin. Teologja ich pozornie się tylko tak nazywa, jest w istocie filozofją, stosowaną w dziedzinie religijnej. Wielką sprawia rozkosz umysłową nawet współczesnemu człowiekowi, nawet filozofowi zawodowemu, śledzenie śmiałej zawsze, ścisłej prawie zawsze myśli antytrynitarskiej i jej ryzykownych, częstokroć karkołomnych dedukcyj logicznych, tak jak je przechowały traktaty antytrynitarskie z w. XVII, takiego naprz. tęgiego umysłu, jakim był Wiszowaty, przyjaciel Gassendiego, którego zasadnicze dzieło nosi tak charakterystyczny dla tych filozofujących i logizujących bezustannie teologów tytuł: „Religio rationalis".

Tu autor, aczkolwiek nie rości sobie pretensji do miana filozofa, przyznaje się, że był często, używając języka filozofów, podmiotem tej arcyprzedniej rozkoszy intelektualnej i poleca swym czytelnikom, już prawdziwym filozofom, zapróbować tej lektury, aby sprawdzili wiarogodność jego twierdzeń. Antytrynitarze polscy stworzyli w swej filozofji teologicznej rzeczy trwałe i pozytywne i tego dowodzi fakt ich wybitnego oddziałania na rozwój filozofji europejskiej. Sto lat temu uczony niemiecki Fock stwierdził zależność Spinozy od filozofji socynjańskiej, to jest antytrynitarskiej wieku XVII. Twierdzenie Focka potwierdzili badacze współcześni. Ustalono również ponad

wszelką wątpliwość łączność Hugona Grotiusa, Bayle'a i in. z filozoficzną myślą socynjan polskich. Socynjanie polscy utrzymywali właściwie honor i prestige kultury umysłowej Polski w siedemnastowieczu. Oni byli nieoficjalnymi ambasadorami nauki polskiej zagranicą. Brückner, wytrawny i zasłużony badacz i znawca przeszłości naszej, nie waha się przyznać im tego stanowiska w całej rozciągłości, pisząc, że „umiejętność polską między europejskiemi reprezentowały w w. XVII najświetniej dzieła polskich arjan".

To jest jeden z tytułów zasług tych ludzi, jeden, lecz nie jedyny. Cechą charakterystyczną antytrynitarzy — i to od samego początku istnienia tego wyznania w Polsce — był nacisk na doskonalenie się moralne, na życie według ewangelji, stałe usiłowanie wyciągania z oderwanych przesłanek logicznych dogmatyki norm postępowania etycznego w życiu codziennem i konsekwentne dążenie do ścisłego dostosowywania praktycznego życia do teoretycznych zasad dogmatyki. Mosheim, historyk kościoła, tak charakteryzuje antytrynitarską etykę: „Socynjanie dochodzą do wniosku, że ci tylko są prawdziwymi i godnymi chrześcijanami, których słowa i czyny zgadzają się z nauką praw boskich. Utrzymują oni, że celem posłannictwa Chrystusowego tu na ziemi było objawienie ludziom nowego zakonu, odróżniającego się od wszystkich innych swą świętością i doskonałością. Wskutek tego wielka liczba Socynjan przejęła się surowością fanatyczną dawnych antybaptystów. Gdy mają dawać przepisy postępowania według nauki ewangelji, pojmują naukę co do litery i stosują ją bez najmniejszego względu na czas, osoby i okoliczności". Jak wyglądało w praktyce to pojmowanie ewangelji co do litery i bezwzględne jej stosowanie w życiu, łatwo się przekonać z tego, co nam konkretnego o ich życiu przekazały dzieje.

A więc szlachta arjańska zrzekała się własnych majątków i uwalniała swych poddanych, bowiem „wiernemu nie godzi się mieć poddanych a daleko mniej niewolników, gdyż to jest rzecz pogańska panować nad swoim bratem, potu jego albo raczej krwie używać; ano pismo święte jaśnie świadczy, że Bóg z jednej krwie uczynił wszytek rodzaj człowieczy, i wedle czego wszytcy jesteśmy sobie równi, bo jeśliśmy wszytcy z jednej krwie, tedyśmy wszytcy sobie bracia, a jeśli bracia, a jakżeż może brat nad bratem panować, jako może jego potu używać?". Widać tu wyraźnie, jak prostolinijnie szedł antytrynitarski kar-

mazyn polski od nakazu ewangelji do czynu bezpośredniego. Nie dość na tem. Zrzekłszy się majątku i rozdawszy go między poddanych swoich, szedł arjanin między pospólstwo, aby razem z niem przy szewckim czy krawieckim warsztacie pracować na codzienny kawałek chleba. Tworzą się gminy, na wzór komunistyczny organizowane, gdzie nie czyniono różnicy między panem, chłopem i mieszczaninem. Znamy jedną taką gminę dobrze. Istniała w Rakowie, zorganizowana w r. 1570. Pisze o niej historyk reformacji Węgierski — Regenvolscius, że „wspólnie wszystkie rzeczy mając, w Rakowie mieszkają". Szydzi z niej kalwin Krzysztof Trecy: „Bardzo liczni, pozbywszy się znacznych majętności, obrali sobie za mieszkanie pewien las i zbudowali tam miasto. Tymczasem jednak bogatsi z nich wskutek wspólnoty majątkowej podupadają, ubożuchni zaś porastają w pierze". Nastąpił wielki rozgardjasz społeczny, który narobił wiele kłopotu rozważniejszym organizatorom gmin antytrynitarskich.

Rozgardjaszowi temu i idącemu z nim w parze maksymalizmowi społecznemu położono jednak koniec. Równie maksymalistyczny program, jak w zakresie społecznym, zaczęli głosić antytrynitarze również w zakresie politycznych zagadnień, wnosząc zakaz rozstrzygania sporów między jednostkami i narodami zapomocą siły oręża, a nakazując załatwianie ich drogą pokojową. Niedaleko stąd do trybunału haskiego i Ligi Narodów. Na temat używania miecza i urzędu wszczęła się gorąca dyskusja. I znów ten absurdalny maksymalizm etyczno - polityczny doznał sprzeciwu w łonie samego antytrynitaryzmu, który się spostrzegł, że hasło rzucania broni i niesprzeciwianie się złu może się stać hasłem, zabójczem dla państwa polskiego.

Maksymalizm etyczny antytrynitarzy polskich, tak samo zresztą, jak ich maksymalizm dogmatyczny, musiały się spotkać ze sprzeciwem całego społeczeństwa polskiego i to bez różnicy wyznań: katolickiego, kalwińskiego czy luterańskiego. Dziwną conajmniej wydać się musiała ich etyka przeciętnemu szlachcicowi, nakazująca porzucanie majętności i bratanie się z pospólstwem krawieckiem, szewckiem czy chłopskiem. Za niebezpieczny — i słusznie — musiało społeczeństwo polskie uznać szlachetny w zasadzie pacyfizm antytrynitarski, wytrącający szablę z rąk Polaka, otoczonego mniej już pacyfistycznie nastrojonymi moskiewskimi czy tatarsko-

tureckimi sąsiadami. To też ukazanie się Jana Niemojewskiego na sejmie lubelskim w szarym płaszczu, z mieczem drewnianym u boku, bez zwykłego splendoru szlacheckiego, bez sług i kolas, wzbudzić niewątpliwie musiało jeżeli nie oburzenie, to już przynajmniej kpiny, a może nawet śmiech homeryczny zebranej szlachty.

Nie śmiech już, lecz szczere oburzenie i niemniej szczerą nienawiść wzbudzili ku sobie antytrynitarze swą skrajną dogmatyką. Najzaciętszych wrogów mieli w kalwinach, którzy nie mieli nigdy dość słów obelżywych, aby odpowiednio napiętnować swych przeciwników. To też, gdy zagrożone w swym bycie a powaśnione wyznania reformacyjne kalwinów, luteran i braci czeskich postanowiły przeprowadzić w t. zw. zgodzie sandomierskiej połączenie sił w walce z katolicyzmem, poza nawiasem różnowierstwa polskiego znaleźli się odtrąceni przez nie brutalnie antytrynitarze. Tymczasem wzmagająca się reakcja religijna coraz to więcej ich dręczy. Najdotkliwszym dla nich ciosem była uchwała sejmowa w r. 1638, nakazująca zniesienie kościoła, szkoły i drukarni w stolicy arjańskiej — Rakowie. Egzekutorem wyroku był biskup krakowski i częsty mieszkaniec Kielc — Zadzik. Przenieśli się tedy na Wołyń. W r. 1644 zaczęto znosić szkoły i zbory sekty na Wołyniu, wreszcie zaś w r. 1658 uchwałą sejmową skazano ich na wygnanie z kraju, dając trzy lata czasu na wyprzedanie się z dóbr i uregulowanie spraw majątkowych. Trzyletni termin został zredukowany do lat dwu uchwałą sejmową w r. 1660. Ścigani, szczuci bez wytchnienia w kraju własnym, kraju ojczystym, który dawał przecież przez długie wieki schronienie tropionym za swe przekonania cudzoziemcom, musieli arjanie albo wiarę swą rzucić, lub kraj opuścić. Wszyscy z małemi wyjątkami — wybrali to ostatnie, udając się do Węgier, Holandji, w wiecznej tułaczce błąkając się po krajach niemieckich.

Oto jak opisuje chwile ich wygnania z kraju historyk polski: „I mimowoli wzrusza nas obraz owej szarej, cichej i kornej gromadki polskiej, znoszącej dla Ewangelji wszelkie urąganie, wykluczanie, wyrabiającej w sobie ową karność i tęgość ducha, jaką w najgroźniejszej próbie wykazać umiała. Bo gdy po wieloletnich częściowych prześladowaniach nakoniec wszystkich arjan z kraju wyganiano, nie dlatego, że zawinili, lecz dlatego, że źle wierzyli, zaprzeli się oni świata i mienia i wzięli krzyż na się, choć starczyło przyjąć katolicyzm, by się przy

wszystkiem utrzymać, nie zawahała się większość ich porzucić wrogi kraj ojczysty i udać się na tułaczkę, a nigdzie nie liczyć na litościwe przyjęcie, jakie np. francuskich lub salcburskich emigrantów o wiarę między współwyznawcami pewnie czekało i litowała się nad nimi, chyba śmierć, która z kilkuset ciągnących do Siedmiogrodu, a złupionych po drodze przez żołdactwo cesarskie, rychło tylko trzydziestu przy nędznem życiu zachowała". Na tem kończą się dzieje arjan w Polsce.

Różny oczywiście może być pogląd na rolę i charakter antytrynitaryzmu polskiego w dziejach naszych. Bezspornym jednak musi być fakt, że stanowią oni poważną a dzisiaj już powszechnie uznaną pozycję w dziejach filozoficznej myśli, nietylko polskiej, lecz i europejskiej. Zdaje się jednak, że bilans ich usiłowań etycznych jest daleko poważniejszy w naszym dziejowym dorobku kulturalnym. W poprzednim „Pamiętniku" wygłosiłem jeremjadę, wysnutą z faktów konkretnych, na temat szesnastowiecza, jako epoki mocnych u nas głów, lecz słabych nader charakterów. Pisząc tak, myślałem o społeczeństwie kalwińskiem. Otóż stwierdzić należy ponad wszelką wątpliwość, że sytuacja w społeczeństwie antytrynitarskiem była pod tym względem daleko lepsza, że między Polakami — antytrynitarzami szesnasto i siedemnastowiecza odnajdziemy nietylko najbystrzejsze głowy, lecz i najhartowniejsze charaktery. Antytrynitarze — pomimo swoich krańcowości i absurdalnego często maksymalizmu etycznego — rehabilitują swoich współziomków, jako ci, pod których „szaremi kopieniakami kryły się najlitościwsze, najcieplejsze serca polskie", co więcej, kryły się charaktery, uporczywie i konsekwentnie realizujące w życiu te zamiary i plany, które płynęły z tych najlitościwszych i najcieplejszych serc polskich. To też należy się dzisiaj wdzięczna pamięć tej „szarej, cichej i kornej gromadzie".

Z Rakowa dawniejszego nie pozostało dzisiaj prawie nic. Po wypędzeniu arjan z Rakowa w 1638 r. runęła nagle tak wspaniale rozkwitła potęga jego materjalna i umysłowa. Szlachta wyjechała na Wołyń, mieszczaństwo usunęło się do innych miast, wsiąknąwszy doszczętnie w spauperyzowane masy miejskie. Charakterystyczne jest, że konjunkturę świetnie wyzyskali Żydzi, którzy skupili za bezcen domy i warsztaty gwałtownie i w krótkim czasie wypędzonych z miasta dotychczasowych ich właścicieli. Dzisiaj smutne wrażenie czyni czysto żydowska mieścina, położona w morzu bezpłodnego piasku.

Kończąc, już nie w charakterze tylko Polaka, lecz kielczanina, przywiązanego sercem do swej bliższej ojczyzny — kieleczczyzny, której przeszłość na pewnym odcinku starałem się przedstawić łaskawym czytelnikom, dodać muszę, że my — kielczanie specjalnie winniśmy przedstawicielom tej gromadki arjańskiej wspomnienie, jako tym, którzy na ziemi kieleckiej w Rakowie wzrośli i na ziemi kieleckiej przez długi czas nosili swe mocne głowy, swe litościwe serca i swoje tęgie charaktery polskie.

JULJUSZ NOWAK

ADOLF DYGASIŃSKI

W 30 ROCZNICĘ ŚMIERCI

Adolfa Dygasińskiego uważać trzeba za kielczanina. Poetą był ziemi kieleckiej. Urodzony 7 marca 1839 r. w Niegosławicach w Miechowskiem z ojca Jana i Katarzyny z Janiszewskich, uczył się w Pińczowie i w Kielcach w szkole realnej (1858—1860). Zmarł 3 czerwca 1902 r. w Grodzisku pod Warszawą.

Minęło więc w r. 1932 trzydzieści lat od śmierci znakomitego pisarza. Znaczenie jego w dziejach nowoczesnej literatury polskiej jest znacznie większe, niżby o tem wnosić można było z okazywanej mu pamięci. Adolf Dygasiński musi być pamiętany osobno. Rodzaj jego twórczości nie miał koło siebie plejady, domaga się specjalnego znawstwa i amatorstwa, osobnego wspominania.

Był to pisarz narodowy z krwi, która go robiła poetą, ilekroć dotknął się rodzimych zjawisk życia. Życia nie można kochać wogóle, kocha się je w pewnej postaci. Dygasiński widział je w tem słońcu, które świeci na Ponidziu, nad Prądnikiem, nad Wisłą. Patrjotyzmem historycznym ani politycznym się nie trudnił, podobnie jak Kasprowicz, ale wszystko, co pisał, składało się na pomnik życia polskiego.

Jaką Polskę mógł śpiewać ziomek Mikołaja Reya, bliski mu z typu, który się urodził w zaborze rosyjskim 1839 r., a żył do r. 1902? Odcięty od świata w swojem rodzinnem Ponidziu (Pińczowskie, pow. miechowski) nasiąkał prastarą tradycją polską. Jego ukochane okolice Ojcowa w dolinie Prądnika to najstarsza siedziba ludzka w czasach przedhistorycznych od kilku tysięcy lat przed Chrystusem. Ojców był jednym z centrów zagłębia krzemiennego wtedy, gdy krzemień był podstawowym czynnikiem cywilizacji materjalnej Europy. Tam jest do dzisiaj kopalnia bajecznych tradycyj polskich. Jedna z pisarek (p. Sukertowa) napisała całą historję Polski z podań, zebranych w dolinie Prądnika. Tam się odczuwa wiekuistość życia, tam mowa ludzka jest pełna ech odległych, a całe przyrodzenie tak zrośnięte jest z bytem człowieka, że darmoby filozof szukał odgraniczenia między „ja" i „nie ja".

W tych swoich stronach rodzinnych Dygasiński nauczył się rozmawiać z ziemią, drzewami, ptactwem, psami, końmi,

z człowiekiem i słońcem. To były tematy jego studjów powieściowych. A gdy wszystkie przerobił, wtedy wyśpiewał potężny hymn na cześć słońca — „Gody życia".

Uczył się w Pińczowie i w kieleckiej szkole realnej (1858—60), potem w Szkole Głównej w Warszawie (1862—66). Stąd wyrwał się do powstania, po którem wyjechał do Pragi czeskiej. Powróciwszy stamtąd do kraju, jako nauczyciel domowy przebywał w Wielgiem (w Radomskiem) u Karczewskich, gdzie uczył syna Wacława (późniejszego powieściopisarza) i wespół z nim, po sąsiedzku, syna Malczewskich — Jacka (malarza). Przeniósłszy się do Krakowa, założył tam księgarnię i pensjonat wychowawczy (1874—79), poczem w Warszawie oddawał się belferce i publicystyce. „Kurjer Warszawski" w r. 1890 wysłał go jako korespondenta do Brazylji; a potem zawodowe pisarstwo już czysto beletrystyczne.

Mało kto wie, że po Dygasińskim zostały cenne przekłady dzieł naukowych (Mill), szereg książek pedagogicznych, „Listy z Brazylji" i zgórą 50 tomów powieści i nowel.

Było parę lat świetnych w warszawskim świecie artystycznym (od r. 1885), kiedy Artur Gruszecki nabył tygodnik „Wędrowiec" i stworzył z niego ognisko dla całej grupy artystów i pisarzy. Byli tam Dygasiński, Sygietyński, Witkiewicz St. i Al. Gierymski. Podniecano się tam wzajemnie w ambicjach artystycznych, co wyszło na korzyść Dygasińskiemu. A wszyscy byli „cyganie". Ciągnęli tradycje cyganerji lat czterdziestych. Nie było już dandyzmu salonowego między nimi, owszem reagowano na salonowość manifestowaniem entuzjazmu męskiego na rzecz sztuki, połączonego z pogardą dla form towarzyskich. Temperamenty szukały uzgodnień w biesiadzie, której koło bywało nieraz dość szerokie, a każda taka biesiada przy kieliszku była akademją.

Dygasiński w tem gronie był jedynym, który pragnął nadać „Wędrowcowi" charakter pisma, studjującego Polskę *). Tu był przegłosowany. Ale niebawem, w r. 1887, widzimy go na stanowisku świeżo założonego wydawnictwa ludoznawczego „Wisła". — Wtedy go poznałem. Przyszedłem do niego jako student uniwersytetu z prośbą o poradę, chciałem bowiem podczas wakacyj zbierać dalej materjały etnograficzne. Zbliżałem się do niego nieśmiało, zaczarowany jego nowelami z życia zwierząt, pól, lasów i ludzi wiejskich. Dał mi R. Zawilińskiego „Wskazówki do zbierania właściwości ludowych", według których uzupełniłem zebrany już

*) ob. J. Wolert w „Pamiętniku Świętokrzyskim". Warszawa, 1931, od str. 127.

materjał do swojej monografji „Jagodne". Tędy wszedłem do literatury.

Wydał mi się podobny z głowy i zarostu do wizerunku mędrców greckich, które widziałem w podręczniku historji: może Sokrates, może Ezop. Imponowały mi w jego pismach refleksje filozoficzne o życiu, i humor, z jakim traktował zwierzęta, dawniej brane tylko do bajek. Usta układały mu się do śmiechu pewno tak, jak Ezopowi. Cóż chcecie, ludy z naszych stepów wędrowały niegdyś aż na Grecję i mogły jej dać zabarwienie rasowe...

Kończył się w owe czasy okres dyletantyzmu warszawskiego. Dygasiński, z edukacji przyrodnik, w humanistyce był spadkobiercą z jednej strony Zorjana Chodakowskiego, K. W. Wójcickiego (jako miłośnik etnografji), a z drugiej strony — K. Brodzińskiego, C. Norwida (jako poeta). Łączyła się w nim ludowość z poezją, a to wszystko wypływało z tęsknot do odrodzenia narodu. Wielki był postęp: Dygasiński rozumiał już, że świat pracy umysłowej różniczkuje się na trójpole działania, nauki i sztuki, różną metodą uprawne. „Wisłę" oddał specjaliście etnologowi J. Karłowiczowi, sam oddał się sztuce. Sztuką zaś w literaturze była już wtedy powieść. W niej najdogodniej i najpełniej mógł się wypowiedzieć badacz życia, miłośnik ojczyzny, filozof i poeta.

Kto wie, czy siłą twórczości poetyckiej XIX w. w Polsce nie był właśnie ów dyletantyzm, który duszę syntetyzował. Dzisiaj głębiej się orze na każdem zosobna polu. Od spraw życia narodu jest specjalista polityk, naukowiec ma swoje metody i cele, artysta — swoje. I to jest słuszne, ale jakże każdy z nich się boi skompromitowania syntezą! Jeden drugiego nie rozumie. I to jest złe.

Dygasiński przyrodnik szukał syntezy w poglądzie monistycznym i wypowiedzieć ją chciał środkami artystycznemi. Wszystko co przeżył, przepracował, przemyślał, przecierpiał i przeuwielbiał za swego żywota — streściło się w jego żywotnem sercu — niby w jednej kropli ekstraktu wszystkich pojęć i uczuć — w entuzjastycznym okrzyku: Życie! Ten hymn dobył z siebie, jakby w przeczuciu swego końca, w poetyckiem dziele przedśmiertnem, koronującem jego twórczość — „Gody życia".

Na te gody wróciła dusza jego do doliny Prądnika, jak do Raju utraconego. Powtórzmy za Kasprowiczem:

Błogosławiona niech będzie ta chwila,
Kiedy się rodzi wieczorny hymn duszy...

ZYGMUNT WASILEWSKI

Z PAMIĘTNIKA CÓRKI

Uprzejmości córki Adolfa Dygasińskiego, pani Zofji Wolertowej, zawdzięczamy parę poniższych urywków z pamiętnika:

Żyć w Warszawie z literatury! Ponoć to i dziś dosyć trudno, a cóż dopiero czterdzieści lat temu! Wszakże po zamknięciu szkoły polskiej Benniego przez Apuchtina, kuratora rosyjskiego, ojciec mój miał uniemożliwioną drogę zarobku w szkołach. Za lekcje udzielane prywatnie, zwłaszcza polskiego, groziła kara, przeważnie zesłanie do Rosji. Zresztą lekcje takie mogły się odbywać tylko konspiracyjne. A tu trzeba żyć i utrzymać rodzinę. Więc przedewszystkiem przenieśliśmy się do mniejszego mieszkania przy ul. Nowogrodzkiej Nr. 37. W niewielkiem trzypokojowem mieszkanku na drugiem piętrze w ciągu lat dziesięciu płynie nasze życie. Ten okres zamyka się wreszcie tragicznym aktem śmierci mej matki, która przez parę lat ciężko chorowała.

I tu w małym kwadratowym pokoiku, pełnym książek, z oknem, wychodzącem na długie, wąskie, typowo warszawskie podwórze, w tym pokoju siedział ojciec mój całemi dniami i — pisał. Niezbędnemi akcesorjami przy tem pisaniu była filiżanka zawsze świeżej, mocnej herbaty i papierosy, których dziennie wypalał około sześćdziesięciu sztuk. W tym czasie pisał „Pana Jędrzeja Piszczalskiego". Powieść tę tworzył w bardzo trudnych warunkach materjalnych. A jednak tryska ona życiem i skrzy się humorem. Odwiedzał wtedy ojca bardzo często Stanisław Witkiewicz, ojciec St. I. Witkiewicza, współczesnego malarza, powieściopisarza i krytyka, popularnie w sferach literackich zwanego Witkacym. Stanisław Witkiewicz pochodził ze Żmudzi. Jego stryj Jan był postacią niezwykłą. Jako uczeń gimnazjum w Krożach, razem ze swym przyjacielem Cyprjanem Janczewskim założył w r. 1823 tajny związek uczniowski „Czarnych braci", mający nieść pomoc uwięzionym Filaretom i Filomatom. Gdy związek wykryto, obu skazano na śmierć, którą w drodze łaski zamieniono im na roboty ciężkie i zesłano do wojska na szeregowców. Na zesłaniu, na pograniczu Turkiestanu, poznał Witkiewicza Aleksander Humboldt i za jego wstawiennictwem u cara, awansowano Witkiewicza na oficera. Dzięki swoim zdolnościom awansował coraz wyżej, został wreszcie agentem dyplomatycznym w Kabulu. Scenę wywożenia Janczewskiego i Jana Witkie-

wicza ze Żmudzi opisał Mickiewicz w trzeciej części „Dziadów“ w opowiadaniu Sobolewskiego.

Ponieważ „Pan Jędrzej Piszczalski“, bohater powieści ojca, jest postacią kresową, skąd właśnie pochodził Stanisław Witkiewicz, autor „Na przełęczy“, więc się żywo interesował tem, co ojciec pisał. Co przyjdzie Witkiewicz, to mu ojciec napisany ustęp odczytuje. I razem śmieją się do rozpuku i bawią. Witkiewicz znał tego rodzaju typy kresowe, jakie opisywał ojciec, uwypuklał ich sposób wyrażania się, przyczem obaj wybornie czas przepędzali.

Ale utrzymanie siebie i rodziny z pióra okazało się niepodobieństwem. Widząc trudności, coraz bardziej wzrastające, ojciec zdecydował się opuścić Warszawę i został nauczycielem młodego Orsettiego, który mieszkał w Popowie, u siostry swej i szwagra hr. Stanisławostwa Skarżyńskich. Ponieważ było to w pobliżu Warszawy, więc odwiedzał nas często. Pracuje nad „Piszczalskim“ i stale nam o tem donosi w listach. Skoro tylko przyjechał do Popowa, pisze 29 kwietnia 1889: „Po przybyciu z Warszawy jestem znowu na łonie niewinnej i dobrej przyrody. Słońce pięknie świeci, drzewa i ziemia pokrywają się zielenią, ptaki śpiewają, a ja znaczną część dnia przepędzam w lesie. O swoich zajęciach prawie że nie mam Wam co pisać, chyba tyle, iż przybyło dwa dobre rozdziały „Piszczalskiego“. Jak ten „Piszczalski“ go interesuje, świadczy, że bardzo często nadmienia o nim w listach. W Popowie zajmuje się chowaniem lisa, oswoił go, przywiązał do siebie: ten lis zostanie później bohaterem jednej z jego nowel. Dnia 10 sierpnia 1889 pisze między innemi: „Lis wyrósł i wypiękniał, przywiązał się do mnie, chodzi po dziedzińcu i figle płata. Napisałem nowelę „Miłość bez gniazda“ (kukułka) i drugą „Hrabia“; Piszczalskiego na łeb na szyję kończę, urósł do dużych rozmiarów; ale są w nim sceny, które mnie się nawet podobają. Wogóle ja tu nie próżnuję, pracuję dosyć, a świeże powietrze, kwiaty itd. bardzo mi sprzyjają i sypiam, jak król, w ogrodzie. Tylko przeszłej nocy mysz coś skrobała przez całą noc i dziś będę na nią polował“. W październiku zawiadamia Ant. Sygietyńskiego, że skomponował dobry rozdział „Piszczalskiego“, który został prawdopodobnie zakończony w grudniu. 4 stycznia 1890 zaczął go drukować tygodnik literacko-naukowy „Życie“, wychodzący w Warszawie pod redakcją księgarza Teodora Paprockiego. Ten „Piszczalski“ zajmuje go nawet po napisaniu, bo w liście do żony z Popowa dnia 4 marca 1890 zawiadamia: „Witkiewicz pisał, unosi się nad Drakiewiczem (jeden z bohaterów „Piszczalskiego“), donosi,

że każdemu, kto go odwiedza, czytuje sceny z „Piszczalskiego", a Kalunio (dzisiejszy „Witkacy") mi przesłał narysowany portret „Drakiewicza z kobietą".

Zanim się zaczął drukować „Piszczalski", ojciec dnia 15 grudnia 1889 pisał: „... zbieram materjały do nowej powieści pod tymczasowym tytułem „W gorzelni" (była to „Gorzałka", w której ojciec przedstawił wpływ alkoholu na jednostkę, rodzinę i społeczeństwo) i do noweli „Sielanka zimowa"; tę ostatnią chcę przesłać „Nowej Reformie", o czem pisałem do Pawlikowskiego...".

Pracuje intensywnie, zawsze tak pracował. Oprócz zatrudnień pedagogicznych przy nauczaniu młodego Orsettiego, obserwuje naturę, pisze utwory literackie, w tym czasie dokonywa jeszcze tłumaczeń: Berta („Pierwszy rok kształcenia", śliczna książeczka), Boiraca („Filozofja") i wiele innych, jak np. „Geografja handlowa". Duchowo męczy go to, ale cóż—choroba żony, wychowanie córki wymagały pieniędzy... Ojciec mój był niesłychanie pracowity, to też przez dziewiętnaście lat pracy literackiej napisał około 170 utworów beletrystycznych, a zbierze się tego na dobre tomów pięćdziesiąt. Podziwiam, skąd brał jeszcze czas, aby się niekiedy zabawić z przyjaciółmi. Słuchacze b. Szkoły Głównej spotykali się co czwartek na gruncie neutralnym, a mianowicie u Gablera na rogu ulicy Złotej i Marszałkowskiej, gdzie obecnie znajduje się restauracja Bocqueta. Przychodzili tam Stanisław Mieczyński, uczony filolog, złote serce, charakter kryształowy, Stanisław Kramsztyk, przyrodnik, Edward Grabowski, głęboko wykształcony historyk literatury, Bogusławski, historyk, Władysław Kwietniewski, matematyk. Za bytnością swoją w Warszawie ojciec mój też tam uczęszczał bo ten zwyczaj był ściśle przestrzegany. Chodziło bowiem o stały kontakt, o porozumiewanie się w różnych społecznych sprawach, co w nikim nie budziło podejrzeń, jako, że czas przepędzano przy skromnym kufelku piwa, a rozchodzono się zawsze przed 11.

Mając głowę zajętą swymi bohaterami z powieści czy noweli, zapominał często najważniejszych spraw z zakresu życia codziennego, sprawiając nieraz sporo kłopotu domownikom. Razu pewnego zaprosił np. na obiad niedzielny Włodzimierza Zagórskiego, literata, pisującego pod pseudonimem Chochlika. Miał on po obiedzie odczytać swój utwór ostatni „Sulamitka". Ojciec uprzedza go, że obiad jadamy o godz. 5, zapomina jednak, że w niedzielę i święta, ze względu na służącą, obiad bywał o 2-ej. Czekamy w niedzielę do 3-ej, tembardziej, że oprócz Chochlika mieli być

inni goście. Mama się niecierpliwi, ojciec także, wreszcie obiad spożyliśmy sami, tymczasem po obiedzie przed piątą zjawia się Chochlik w pełnej toalecie frakowej! Można sobie wyobrazić konsternację, kłopot gospodyni i minę gościa. A no — artysta: nic dziwnego, że ojciec zapomniał o niedzielnej porze obiadowej. Pamiętał jednak o bohaterach swoich utworów. A to chyba ważniejsze.

*

* *

Bogata jest galerja zwierząt i wszelakiego ptastwa, wprowadzona do beletrystyki przez mego ojca. Zwierzęta i ptaki, jak wogóle różne twory przyrody, ojciec mój nietylko opisywał, ale i obserwował, podglądał niejako ich „życie i zabawy". Tak samo, jak chodził po jarmarkach małych miasteczek i chwytał okiem i uchem, zapisując w swej pamięci sceny i typy ludzkie, podobnież czynił spostrzeżenia nad fauną, a nawet florą, wogóle nad przyrodą ożywioną.

Ojciec mój chował ptastwo bardzo wcześnie. Mając lat 27, jeszcze przed ślubem, przechowywał w r. 1866 przez zimę stado ptaków krajowych, łowionych głównie podczas jesieni, kiedy odbywają się ich ciągi. Były to zięby, szczygły, czyże, dzwońce, gile, trznadle, dzierlatki, sikory. Przez dobroć swego serca dał im opiekę podczas zimy. Ale w ciągu tego czasu obserwował ich zwyczaje. Zebrał podobno moc spostrzeżeń, które zużytkował w swoich pismach, a także nieraz o tem opowiadał. Pewnego pogodnego dnia w początkach kwietnia otworzył okno i wypuścił całą gromadkę, liczącą sztuk przeszło sześćdziesiąt. Prawdziwa ptaszarnia! Wyleciały do ogrodu i oprócz dzierlatek wszystkie osiadły na jednem drzewie w pobliżu okna. Zachowanie się ich było rozmaite, niezmiernie ciekawe. Gdy wreszcie ojciec postawił na gzymsie okna kilka pudełek z żywnością, z których jadały przez zimę, cała ta rzesza ptasia z wielkim gwarem opadła na okno.

W wiele lat później ojciec, przebywając w Szczawinie nad Narwią u państwa Glinków, chował przez dłuższy czas dużą ilość ptaków, do czego miał specjalny pokój, dzięki uprzejmości pani domu. Przed paru laty opowiadała mi pani Glinczyna o tych osobliwych zwyczajach mego ojca, który w pokoju, gdzie były poustawiane świerki i sosny, chował sporą rzeszę ptaków, obserwując ich zwyczaje.

Przez zimę przechowywał ojciec i w Warszawie szczygła, czyżyka i gila, które to ptaszki wynieśliśmy z wiosną do ogrodu pomologicznego. W mieście miał ojciec z hodowlą ptaków spore trudności, gdyż ptaki trzeba było trzymać w klatce, a znów nie rozporządzaliśmy tak obszernem mieszkaniem, aby ptaki żyły sobie swobodnie, nie czyniąc zbyt wielkiego kłopotu i nieporządku.

Na wczesną wiosnę, gdy natura zaledwie budzić się zaczyna do życia i jeszcze nieliczne głosy ptasząt odzywają się wśród pustych ugorów, ojciec mój lubił wychodzić w pole i łudząco naśladował głosy różnych ptaków — kaczorów, derkaczy i wiele innych, które natychmiast odzywały się zdaleka, słysząc to wabienie.

Mieszkając w Warszawie, często przynosił znalezione wieczorem na ulicy jakieś zbiedzone zwierzątko, psa lub kota. Taki przybłęda przebywał czas jakiś w domu moich rodziców, dłużej lub krócej. Zależało to od wyrozumiałości służącej, a być może i od włóczęgowskich narowów takiego przygodnego lokatora. Pamiętam, że jeden z takich psów, którego nazwaliśmy Dyndą, mieszana wyżlica, w ciągłvm była ruchu, wesoła, miła i pogodnego usposobienia. Dość długo u nas przebywała i pozostawiła po sobie długotrwałe wspomnienie oraz żal, że jednak nas porzuciła. A pełen fantazji i figlarności „As", uwikłany w tyle przeróżnych życiowych dramatów i przygód, był przecie postacią z życia wziętą. Ten As żył na świecie, jest prawdziwy, nie wymyślony, a jego dole i niedole, opisane przez mego ojca, przejmują czytelnika, interesują żywo i każą mu serdecznie współczuć. Albo inny znów psi bohater, mniej od Asa szczęśliwy Kwiatek, staczający się coraz niżej po szczeblach drabiny społecznej, którego losy pobudzają do — refleksji. Psy przepadały za ojcem. Przebywając przez czas dłuższy w Massalanach, majątku państwa Bispingów, ojciec miał pod swą obserwacją kilkanaście psów, które się doń przywiązały ogromnie, a każdy spełniał poruczone sobie tylko czynności. Gdy pewnego razu przyjechałam do ojca w odwiedziny, psy jakby przeczuły jakiś związek mój z ojcem, bo i w stosunku do mnie wykonywały poruczone sobie czynności.

W Szczawinie, majątku pp. Glinków, chował ojciec i wilka i oswoił go zupełnie. Ale niestety, los jego zakończył się tragicznie. Zginął za to, że był głodny. Nieposkromiony, niepodległy buntownik zginął w niewoli, bo był głodny! Co za paradoks! „Szczęśliwa Anglja, wytępiła wilki! — pisał mój ojciec. Jakże dużo musieli tam zyskać ludzie!

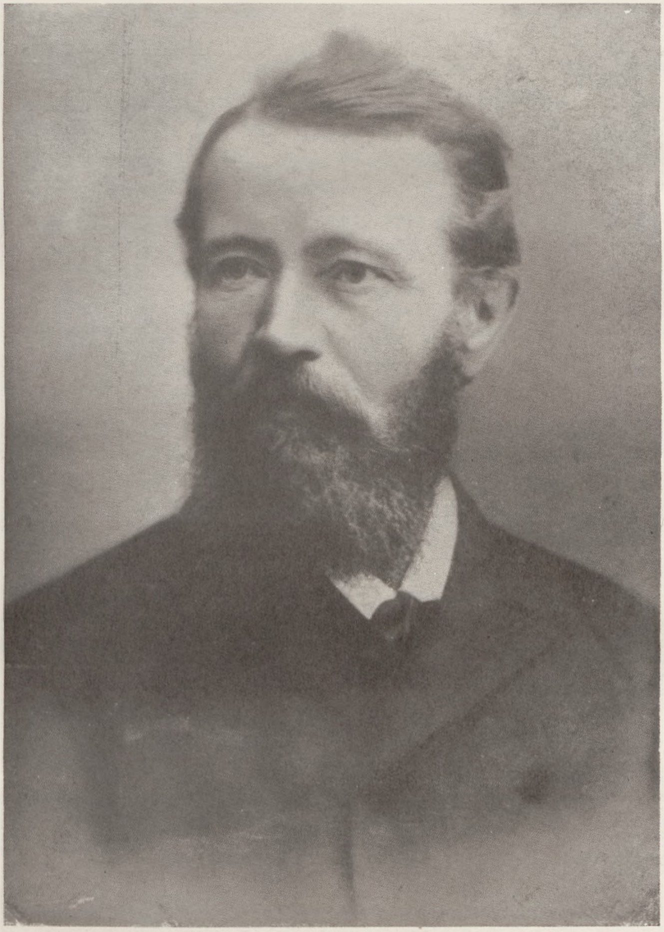
Jeżeli chcecie wiedzieć, czytajcie opisy irlandzkiej nędzy. Bardzo być może, że wskutek tego wytępienia jedni potłuścieli, zjadając część wilczą wołowiny i baraniny; ale iluż pochudło! Pocóż trzymać pasterzy, kiedy wilków niema? Z chwilą, gdy w romantycznych górach Szkocji ustało wycie ostatniego wilka, rozpoczęły się płacze w rodzinach ludzkich. Nikt nas nie przekona, że ekonomja, zaprowadzona przez przyrodę, jest zła i że człowiek może bezkarnie niszczyć jej podstawy do samego gruntu... Ilekroć razy człowiek zrobił coś dobrego i mądrego, to zawsze tylko przez należyte wysłuchanie przyrody i przez posłuszeństwo jej głosowi".

Chował ojciec i lisa, jest to znany Pompa, którego żywot opisał w nowelce pod tytułem „Lis". Biedaczysko oczerniony przez ludzi i przez nich podstępnie niemal zamordowany, aby można było zdobyć piękne jego futro, ku czemu zdarzyła się okazja nieobecności wychowawcy i opiekuna, którym był mój ojciec. W listach do mnie ojciec niejednokrotnie wspominał Pompę i dzielił się ze mną szczegółami swych obserwacyj oraz postępów, jakie Pompa czynił.

A przemiłe szaraki, wiele razy przez ojca opisywane, chował je przecie i obserwował ich obyczaje.

Przez pewien czas chodził ojciec na polowania, przytem poznawał naturę i obyczaje zwierzyny. Strzelał niewiele, ale ostatecznie zaniechał polowań. Płynęło to zapewne nie z czułostkowości, ale z prostego altruizmu. Oburzało go do żywego męczenie zwierząt. Napisał w tej sprawie szereg artykułów. W obronie męczonych w nieludzki sposób koni przeprowadził całą kampanję, drukując parę broszur i piętnując w ostry sposób postępowanie ludzi. Zwiedzał szlachtuzy i w słowach pełnych oburzenia odmalował te wielkomiejskie miejsca zgrozy. W imię humanizmu domagał się reform. „Kto chce poznać nagą prawdę" — pisał — „zobaczyć dzikość ludzkiej duszy, powinien tam iść i patrzeć, choć go ogarnie wstręt i oburzenie... człowiek umie się znakomicie pastwić nad bezbronnym... Gdy człowiek nie ociera się o cierpiącego bliźniego... czy można zakładać instytucje prawdziwej przyjaźni, patrjotyzmu, miłości płci dla płci?... Machiny takie będą odrabiały swoje po kupiecku. Następstwem najbliższem takiego stanu jest podstawienie form za rzeczy"...

Gdy był w Brazylji, oczywiście odurzyła go tamtejsza przebogata fauna i flora, starał się z nią zapoznać. Zaraz zwrócił uwagę na zwierzęta, ptastwo i rośliny brazylijskie.



ADOLF DYGASIŃSKI

Zdjęcie fot. około r. 1880

Pisze o nich nietylko w listach, ale poświęca im sporo uwagi i w utworach beletrystycznych, osnutych na tle wyprawy brazylijskiej. Wracając do Polski, zabrał z sobą dwie przemiłe małpeczki — ale jedno biedactwo nie zniosło podróży morskiej, drugą zaś ofiarował ogrodowi Zoologicznemu w Hamburgu, bo się obawiał, że nie przetrzyma naszego klimatu.

Ojciec mój nietylko pisał powieści z życia zwierząt i ptaków, ale chował je, obserwował w stanie natury. U dziadków moich ojciec całemi godzinami przyglądał się życiu ptastwa podwórzowego, obserwował psy, koty. Tak powstały „Podwórzowe dramata".

Są jednak stworzenia, których nawet ojciec mój nie lubił, mianowicie muchy. Były one jego plagą, zawsze siadały na niewielkiej, lekko przerzedzonej, łysince i dokuczały, dokuczały dotąd, aż zniecierpliwiony, łapał je i z całą pasją topił lub wrzucał do ognia. To też zemścił się na tym rodzie skrzydlatym, opisując różne ich figle, psoty, a nawet krzywdy, wyrządzane ludziom, w noweli p. t. „Muchy". Uczynił z nich symbol szkodliwości, wstrętu i okrucieństwa, wypowiedział śmiertelną walkę przeciw tym owadom-pasorzytom, przytaczając niebezpieczeństwa, wypływające z ukąszeń much wszelakiego rodzaju, a jest ich bardzo wiele i noszą trudne do spamiętania nazwy łacińskie. One to są istną plagą ludzkości!

I tak wśród niezliczonych ilości czworonogów, ptaków— przemykał się z lekkością i humorem, niekiedy z filozoficznemi refleksjami, a zawsze pogodny, pobłażliwy, z dobrotliwym uśmiechem człowieka, który wszystko przebaczał, bo wiele rozumiał.

Z jakąż swobodą, radością i rozkoszą obraca się wśród tego mnóstwa ptaków, jakże zbożnie brzmi jego radosna pieśń życia, choć bynajmniej życie samo nie upływało na różach. Kochał życie, kochał świat dzieci, ludzi i wszelakie stworzenia, to też i one odwzajemniały mu się serdecznie.

Czy to nazwiemy zbiegiem okoliczności, czy przypadkiem, czy też zrządzeniem Opatrzności, w każdym razie było to zadziwiające i jedyne w swoim rodzaju.

W dzień zgonu w dniu 3 czerwca roku 1902, jak też i w dzień pogrzebu, pogoda była prześliczna; upał i słońce. Nad trumną odśpiewano pieśni, wypowiedziano pożegnalne mowy, poczem zaległa cisza, zanim jeszcze grabarze ujęli za łopaty, aby trumnę ziemią przysypać. Cisza ta trwała zaledwie sekundę, tak, jakby oczekiwano je-

szcze czegoś i nagle, wśród tej ciszy, rozległ się głos solowy ptaszęcy, pięknie, choć niedługo zaśpiewał nad mogiłą, żegnając ziemskie szczątki swego „piewcy" i prawdziwego przyjaciela. Do dnia dzisiejszego, choć to już 30 lat dobiega, zapamiętałam sobie ten śpiew i zastanawia mnie on niezmiernie, echem serdecznem odbijając się w mojej piersi. Jednocześnie zapytuję, czy nie pięknie to było i czyż drużyna ptasia nie powinna była, tak jak to miało miejsce, delegować swego przedstawiciela, który usiadł na drzewie nad mogiłą i zanucił ostatnią, pożegnalną pieśń na grobie przyjaciela. Niestety, drzewo to obecnie też już zostało ścięte.

ZOFJA DYGASIŃSKA-WOLERTOWA

SZKOLNICTWO W KIELCACH W OKRESIE LAT 1919—31

ZARYS STATYSTYCZNY.

I.

Przed 50-ciu laty, gdy autor niniejszej notatki opuszczał mury gimnazjum, istniały w Kielcach, które podówczas liczyły 10.051 mieszkańców, następujące zakłady naukowe: rządowe 8-o klasowe gimnazjum męskie — 584 uczniów; rządowe 4-o klasowe progimnazjum żeńskie — 121 uczennic; 4 szkółki początkowe miejskie (męska, żeńska i dwie wspólne) — 137 uczniów i 67 uczennic; szkoła rzemieślniczo - niedzielna — 128 uczniów i 8 szkół prywatnych — 90 uczniów i 230 dziewcząt. Ogółem liczba młodzieży, uczącej się w szkołach kieleckich, wynosiła w roku szkolnym 1881/82 — 1357 dzieci (939 chłopców i 418 dziewcząt).

W szczególności gimnazjum męskie pod względem ilości uczniów znajdowało się podówczas w okresie największego rozwoju: w latach 1881 — 1884 liczby uczniów wynosiły: 515, 584, 581 i 601, w następnych latach, począwszy od 1888, liczba uczniów spadła do trzystu kilkudziesięciu rocznie, potem w latach 1899 do 1905 znowu się podniosła do pięciuset kilkudziesięciu, aby w r. 1906 spaść nagle z powodu strajku szkolnego do 196, t. j. prawie do $^1/_3$ przeciętnej liczby z 7-iu lat poprzednich. W okresie 1881 — 84 roku szczupłe mury gimnazjum nie mogły już pomieścić wszystkich klas, przeniesiono więc wstępną do wynajętego lokalu i zamierzano nabycie sąsiedniego budynku „wikarjatu" i przerobienie go na gmach szkolny.

W roku 1881 gimnazjum męskie miało 18 nauczycieli (wraz z dyrektorem i inspektorem) i dwóch pomocników gospodarzy klasowych (blustitiel). W progimnazjum żeńskiem było 8 nauczycieli i nauczycielek stałych i 4-ch przychodnich z gimnazjum męskiego, a nadto 5 wychowawczyń (nadziratielnica i kłasne damy). Z 8-iu szkół prywatnych do średnich zaliczyć należy 4-o klasową

szkołę męską z internatem Hermana Hillera, wówczas już będącą na schyłku swego istnienia (założona około 1855 roku) i pensje żeńskie pp. Glixelli i p. Ziemnickiej; reszta były to szkółki początkowe; do bardziej licznych należała szkoła ś. p. Karola Krajczewskiego dla chłopców i szkółka żeńska Justyny Kościukiewiczowej (istniała od 1878 do 1892 roku).

Z czterech szkół miejskich: męska posiadała 2-ch nauczycieli, żeńska i mieszane po jednym; jedna z tych szkółek była przeznaczona wyłącznie dla dzieci wyznania prawosławnego i nauczycielem był w niej djakon miejscowej cerkwi; szkołę rzemieślniczo - niedzielną prowadził starszy nauczyciel szkoły męskiej.

II

Po upływie ćwierć wieku od czasu, o którym mówiliśmy, stan szkolnictwa w Kielcach ulega znacznym zmianom pod wpływem nowych warunków, wytworzonych przez takie czynniki, jak przegrana przez Rosję wojna japońska, ruchy rewolucyjne w r. 1905, zmiana ustroju państwowego w Rosji, strajk szkolny w b. Królestwie Polskiem, wreszcie jak wydanie przepisów o szkołach z wykładowym językiem polskim.

W okresie między 1906 i 1914 r., t. j. przed wybuchem wielkiej wojny istnieją wprawdzie — jak dawniej — rosyjskie gimnazja męskie i żeńskie (to ostatnie zamiast dawniejszego progimnazjum po dodaniu w r. 1883/4 — klas 5-ej i 6-ej, a w r. 1886 klasy 7-ej), ale obok nich rosną średnie szkoły prywatne polskie „bez praw".

R z ą d o w e g i m n a z j u m m ę s k i e od 196 uczniów w r. 1906 dochodzi do 396 w roku 1912-ym (w tej liczbie 262 polaków, t. j. $^2/_3$), liczy wówczas 18-stu nauczycieli etatowych i 9-ciu nieetatowych, obchodzi 50-ciolecie istnienia, jako gimnazjum (od r. 1862) i wydaje bardzo starannie opracowany zarys historji gimnazjum w języku rosyjskim p. t.: „Oczerk istorji kieleckoj mużskoj gimnazji za pierwyje piatdiesiat let jeja suszczestwowania" (str. 261).

R z ą d o w e g i m n a z j u m ż e ń s k i e posiada w tym okresie (rok 1911-ty) — 264 uczennic (w tem 102 polki), 6-ciu nauczycieli etatowych, 13 nieetatowych i 8 wychowawczyń, cały personel złożony z rosjan, z wyjątkiem nauczycieli religji katolickiej i języka polskiego;

toż samo zresztą należy powiedzieć i o gimnazjum męskiem.

Obok dwu szkół średnich rządowych istniało jeszcze w ostatnich latach przed wojną (od 1912 do 1914) prywatne 4-klasowe progimnazjum żeńskie z rosyjskim językiem wykładowym i z prawami szkół rządowych — Niny Rublenson; miało ono kilkadziesiąt do stu uczennic, 11-stu nauczycieli i 4 wychowawczynie; wszyscy rosjanie z wyjątkiem, jak zwykle podówczas — księdza i nauczycielki języka polskiego.

Tym trzem szkołom średnim rosyjskim z ogólną liczbą około 750 uczniów i uczennic (w czem blisko 400 polaków i polek) przeciwstawić możemy od r. 1906-go szkoły średnie polskie „bez praw", a mianowicie 7-io klasową szkołę handlową (recte realną) męską i trzy 7-io klasowe szkoły żeńskie: 1) handlową, 2) ś. p. Marji Krzyżanowskiej i 3) ś. p. Emilji Znojkiewiczowej, jako też 7-io klasową szkołę średnią techniczną, założoną w r. 1909 przez inżyniera Zygmunta Kosterskiego, która istniała przez kilka lat i posiadała tylko niższe klasy, wreszcie 4-o klasową szkołę żeńską żydowską p. Stefanji Wolmanowej z wykładem napoły polskim (w okresie 1910—14 r.).

Szkoła handlowa (realna) męska, założona w r. 1903, jako „miejska" z prawami rządowych szkół handlowych, w r. 1906 zrzekła się owych praw i stała się szkołą z wykładowym językiem polskim. W okresie od 1906—1914 r. szkoła posiadała 7 klas z oddziałami równoległymi, liczyła od 452 do 474 uczniów i 23 nauczycieli; dyrektorami jej byli ś. p. Edmund Femkanowski i ś. p. Albin Kowalczewski. W latach wojny 1915—1918 ilość uczniów dosięgała od 622 do 782, a nauczycieli 27-miu; od roku 1909 do 1918 ukończyło szkołę 216 abiturjentów. Uczelnia ta w dziejach szkolnictwa kieleckiego zasłużyła sobie na chlubną kartę. Bliższe szczegóły o niej zawiera sprawozdanie Rady Opiekuńczej, wydrukowane w r. 1919 p. t.: „Piętnastolecie szkoły realnej (handlowej) kieleckiej 1903—1918", a o duchu, jaki panował w szkole i o jej poziomie daje świadectwo księga pamiątkowa, wydana przez pierwszych abiturjentów w r. 1909 p. t.: „Dla siebie i dla szkoły".

Szkoła handlowa żeńska powstała w r. 1906, jako 7-io klasowa szkoła prywatna p. Jadwigi Wolanowskiej, w roku 1908 przeszła na własność Towarzystwa Opieki nad Szkołą, a w r. 1929 była przekształcona

na 8-io klasową szkołę handlową żeńską i wydała pierwszy zastęp maturzystek. W r. 1913—14 szkoła miała 164 uczennic i 20 nauczycieli i nauczycielek, a na ich czele stał jako dyrektor późniejszy poseł kielecki do Sejmu p. Stefan Dobrzański, przełożoną zaś była wysoce zasłużona na polu pedagogicznem w Kielcach p. Stanisława Znamierowska.

Prywatne 7-io klasowe gimnazjum żeńskie ś. p. Marji Krzyżanowskiej, założone w r. 1903, początkowo w składzie 3-ch klas, stopniowo rozwijając się, posiadało w okresie 1906—14 roku 7 klas z liczbą uczennic od 200—250 rocznie, w r. 1914 liczyło 21 nauczycieli i nauczycielek. Program nauk odpowiadał rządowym gimnazjum żeńskim; od roku 1906 wykładowym był język polski.

Szkoła ś. p. Emilji Znojkiewiczowej istniała od r. 1903 pierwotnie jako 3-klasowa, a od r. 1908 już jako polskie gimnazjum prywatne 7-io klasowe z programem żeńskich gimnazjów rządowych. W okresie od 1906 do 1914 r. szkoła liczyła około 150 uczennic (w r. 1911 było 140) i 15 osób personelu nauczycielskiego w r. 1914).

Ogółem prywatne polskie szkoły średnie w Kielcach w okresie 8-io letnim (od strajku szkolnego do wybuchu wojny) dawały naukę przeszło 1000 młodzieży polskiej (około 500 chłopców i około 600 dziewcząt).

Ilość szkół początkowych w tym okresie w porównaniu z rokiem 1881-szym (4 szkoły) znakomicie wzrasta i stale się zwiększając doszła w r. 1914 do 18-stu; były to jednak szkoły mało rozwinięte: jedna 2-u klasowa męska z 2-ma nauczycielami, a reszta 1-o klasowe: 1 męska, 3 żeńskie, 11-cie wspólnych, 2 wyłącznie dla dzieci prawosławnych. W szkołach tych nauczało 19 nauczycieli i uczyło się około 1100 uczniów i uczennic. Oprócz tego istniała 2-u klasowa szkoła kolejowa (około 100 uczniów i 8-iu nauczycieli) i szkoły prywatne: p. Heleny Matkowskiej (od r. 1906 do 1911) — 2-oddziałowa koedukacyjna (w r. 1910 było w niej 71 dzieci i 3 nauczycieli), 1-klasowa szkoła męska p. Wład. Szydłowskiego (od 1897—1911 roku; w r. 1910 miała 63 uczniów i 3 nauczycieli) i przez czas krótki od 1911—1914 roku szkółka p. Walnera (36 uczniów) i rosyjska Eulampjusza Szczyrowskiego (w r. 1911/12 — 14 uczniów).

Razem w szkołach początkowych w ostatnich latach przedwojennych pobierało naukę około 1400 dzieci, a w

średnich, jak wyżej mówiliśmy, około 1750. Tu należy zaznaczyć, że Kielce w owym czasie liczyły w r. 1911 — 35.458, a w r. 1914 około 38.000 mieszkańców.

III

Na tle tych przedwojennych okresów ubiegłego 50-cio lecia jakże wygląda dorobek ostatnich lat kilkunastu, dorobek własnego polskiego szkolnictwa na terenie m. Kielc?

1. Spadkobiercą najstarszej szkoły w Kielcach, prowadzonej w XVIII jeszcze stuleciu (1724—1796 r.) przez księży komunistów, późniejszej szkoły wojewódzkiej (1810—36) i gimnazjum gubernialnego (1836—40), następnie wyższej szkoły realnej (1845—1862) wreszcie gimnazjum filologicznego polskiego od r. 1862—67 i rosyjskiego od r. 1867—1914, — zostało obecnie państwowe gimnazjum męskie imienia Mikołaja Reja.

Nieczynne w ciągu pierwszych dwóch lat wojny, wznowione przez władze okupacyjne w r. 1916-tym, a przez Rząd Polski przejęte w r. 1918 otrzymuje w r. 1919-tym obecną nazwę, ale dopiero od r. 1923 przenosi się z czasowej siedziby do starego gmachu szkolnego, wywodzącego swój początek od r. 1724 (po pożarze 1809 roku odbudowanego w r. 1817-tym). Kierunek nauczania w gimnazjum stale był humanistyczny.

Począwszy od roku 1915—16, w którym istniała tylko jedna klasa, licząca 42 uczniów, corocznie przybywały dalsze klasy i odpowiednio powiększała się ilość uczniów (w r. 1916/17 2 kl. — 83 uczn.; w 1917/18 — 3 klasy — 126 uczn.; w r. 1918/19 — 4 klasy — 122 uczn.; w r. 1919/20 5 kl. — 168 uczn.; w r. 1920/21 — 6 klas — 195; w r. 1921/22 — 7 kl. — 228 uczn.) tak, iż w r. 1922/23 było już 8 klas i 259 uczniów oraz pierwsze matury. W następnych latach liczba uczniów wahała się między 250 — 312 (r. 1923/4 — 260; r. 1924/5 — 275; r. 1925/6 — 283; r. 1926/27 — 312; r. 1927/28 — 250; r. 1928/29 — 281; r. 1929/30 — 304); w ubiegłym roku szkolnym 1930/31 było 317 uczniów; równoległych oddziałów niema.

Maturzystów w ciągu 9-ciu lat wyszło wogóle 112 (w r. 1923 — 5; 24-tym — 6; w 25 — 16, w 26 — 6; w 27 — 20; w 28 — 12; w 29—24; w 1930-tym — 24; w r. 1931 — 19-stu. Nauczycieli w r. 1930/31 liczyło gimnazjum 13-stu. Dyrektorami byli: od r. 1916—1919 p. Adolf Bogucki do chwili obec-1929 p. Edmund Kozarzewski; od r. 1929 do chwili obecnej p. Henryk Kuc (kierownik).

2. W roku 1919-tym została upaństwowiona b. szkoła realna (handlowa), o której wyżej była mowa, a gmach jej wraz z całem urządzeniem, z wyjątkiem zbiorów towaroznawczych, umeblowania dla dwóch klas i pozostałości kasowej — 70 tysięcy koron, przekazano aktem darowizny na rzecz matematyczno - przyrodniczego gimnazjum imienia Jana Śniadeckiego. Wobec wielkiego napływu kandydatów do gimnazjum humanistycznego i niemożności pomieszczenia ich w szczupłym gmachu szkoły imienia Mikołaja Reja, zostają otwarte w gimnazjum im. Jana Śniadeckiego od roku 1923/24 równoległe oddziały humanistyczne, poczynając od klasy IV-ej, ale od roku 1928/29 są stopniowo zwijane, a pozostałą klasę VIII-ą typu humanistycznego z początkiem bieżącego roku szkolnego przeniesiono do gimnazjum im. Reja.

Ilość klas i liczba uczącej się młodzieży w pierwszych latach b. znaczna (b. szkoła realna, której uczniowie w przeważnej liczbie przeszli do gimnazjum im. Śniadeckiego, miała w r. 1918 — 782 uczniów) uległa następnie wybitnej zniżce, a mianowicie:

	Było klas (wraz z równoległemi)	Uczniów	Nauczycieli
w r. 1919/20	13	529	23
„ 1920/21	13	491	20
„ 1921/22	12	450	22
„ 1922/23	12	440	21
„ 1923/24	13	474	21
„ 1924/25	13	455	20
„ 1925/26	13	433	20
„ 1926/27	13	372	20
„ 1927/28	13	320	18
„ 1928/29	12	315	17
„ 1929/30	11	294	16
„ 1930/31	10	274	17

Świadectwa z ukończenia gimnazjum, w ciągu dotychczasowego jego istnienia — otrzymało ogółem 459 abiturjentów, najwięcej: 54 w r. 1923/4, 45 i 44 w dwóch następnych latach, w r. 1929/30 przyznano 36 matur, w roku bieżącym 33. Dyrektorami szkoły byli: od roku 1919—21 p. Alfred Dominikiewicz, od r. 1921 do 1925 kierownictwo szkoły sprawowali dr. Stanisław Wład, a po nim prof. Jan Biełohołowy; od marca 1925 r. do chwili obecnej dyrektorem jest ponownie p. Alfred Dominikiewicz.

3. Obok dwóch gimnazjów państwowych istnieje od września 1923 roku 8-io klasowe gimnazjum męskie typu humanistycznego pod nazwą: gimnazjum Św. Stanisława Kostki. Uczelnia ta powstała z inicjatywy i staraniem duchowieństwa kieleckiego, a w szczególności JEksc. księdza biskupa, posiada wspaniały gmach na wzgórzu poza miastem i kilkadziesiąt morgów ziemi ornej, prowadzi internat dla części uczniów. Właścicielem jej jest Towarzystwo Opieki nad gimnazjum Św. Stanisława Kostki, program nauk ściśle odpowiada państwowym gimnazjom humanistycznym.

Liczba uczniów powiększa się z roku na rok:

w r.	1923/4	było kl.	2,	uczn.	117,	nauczyc.	9
„	1924/5	„	3	„	142	„	12
„	1925/6	„	4	„	164	„	12
„	1926/7	„	5	„	192	„	12
„	1927/8	„	6	„	193	„	13
„	1928/9	„	7	„	203	„	13
„	1929/30	„	8	„	232	„	13
„	1930/31	„	8	„	297	„	13

W roku bieżącym opuścił szkołę pierwszy zastęp maturzystów w liczbie 7. — Dyrektorem szkoły od roku 1923—27 był ks. dr. Kazimierz Dworak, od r. 1927 do chwili obecnej jest ks. Edward Gielniewski.

4. Przedwojenna szkoła handlowa żeńska, przekształcona w r. 1918/19 na matematyczno - przyrodnicze gimnazjum żeńskie, od r. 1921 została upaństwowiona jako 8-io klasowe gimnazjum żeńskie im. błogosł. Kingi. Od r. 1925-go jest to szkoła dwutorowa; obok klas z kierunkiem matematyczno-przyrodniczym istnieją klasy równoległe humanistyczne, poczynając od IV-ej.

Ilość uczennic i nauczycieli od r. 1918/19 była następująca:

Rok	1918/19	uczennic	317	nauczyc.	18
„	1919/20	„	362	„	21
„	1920/21	„	293	„	18
„	1921/22	„	355	„	20
„	1922/23	„	336	„	17
„	1923/24	„	328	„	20
„	1924/25	„	302	„	18
„	1925/26	„	283	„	20

Rok	1926/27	uczennic	314	nauczyc.	19
„	1927/28	„	320	„	20
„	1928/29	„	348	„	20
„	1929/30	„	376	„	20
„	1930/31	„	378	„	21

W tymże okresie szkołę ukończyło 209 maturzystek; w ostatnich czterech latach było matur w r. 1927/28 — 22, w 1928/29 — 21, w 1929/30 — 29, w 1930/31 — 30. Od r. 1918/19 dyrektorką szkoły była i jest obecnie p. Stanisława Znamierowska.

5. Dawna 7-io klasowa szkoła żeńska ś. p. Marji Krzyżanowskiej od roku 1920 istnieje jako 8-io klasowe gimnazjum żeńskie typu humanistycznego im. Adama Mickiewicza, które po śmierci ś. p. M. Krzyżanowskiej przeszło na własność Konsorcjum Nauczycielskiego Spółki z ogran. odpow.

W latach 1920—22 liczba uczennic w szkole wahała się od 250 do 300:

w r.	1922/23	w 8-iu klasach i wstęp. było uczennic	338
„	1923/24	„	327
„	1924/25	„	237
„	1925/26	„	307
„	1926/27	„	273
„	1927/28	„	278
„	1928/29	„	272
„	1929/30	„	242
„	1930/31	„	251

Od roku 1920 szkoła korzysta z praw gimnazjów państwowych; maturzystek ogółem w ciągu 12-stu lat wyszło ze szkoły 103, w szczególności w ostatnich latach 15-cie, 15-cie i 14-cie.

Nauczycieli było w r. 1930/31 17-stu, w tem stałych 5, dyrektor i przełożona. Dyrektorami byli: w r. 1919/20 ś. p. Marja Krzyżanowska, w r. 1920/21 — Stefan Borucki, w r. 1921/22 — Jan Głębowicz; od r. 1922/23 do chwili obecnej p. Kazimierz Pękosławski.

Do specjalnych szkół średnich w Kielcach należy szkoła handlowa i dwa seminarja nauczycielskie: męskie i żeńskie.

6. 3-y klasowa szkoła handlowa Stowarzyszenia Kupców Polskich powstała

we wrześniu 1919 r. i po przedwojennej szkole realnej (handlowej) odziedziczyła zbiory towaroznawcze, nieco ruchomości i 70 tysięcy koron na pierwsze potrzeby. Szkoła ma dwa oddziały — męski i żeński.

Do szkoły są przyjmowani uczniowie, względnie od r. 1924/25 także uczennice, mający ukończoną 7-io klasową szkołę powszechną lub 3 klasy gimnazjalne. Oprócz przedmiotów ogólnie kształcących (49 godzin tygodniowo w 3-ch klasach) są wykładane przedmioty specjalne — handlowe (42 godz. tygodniowo); jedne i drugie ściśle według programu państwowych 3-y klasowych szkół handlowych. Szkoła utrzymuje się z opłat za naukę i z subsydjów, wypłacanych przez Ministerstwo Oświaty z dodatków do cen świadectw przemysłowych i handlowych. Kończący szkołę nie korzystają z prawa wstępu do wyższych szkół zawodowych. W ciągu 12-stu lat istnienia szkoła posiadała:

w r.	1919/20	klas	2	uczniów	42
„	1920/21	„	3	„	74
„	1921/22	„	3	„	88
„	1922/23	„	4	(w tem wstęp.)	140
„	1923/24	„	4	„	143

w r.	1924/25	kl.	męsk.	3	uczn.	117;	kl.	żeń.	1	uczn.	23
„	1925/26	„	„	3	„	111	„	„	2	„	38
„	1926/27	„	„	3	„	92	„	„	3	„	52
„	1927/28	„	„	3	„	86	„	„	3	„	76
„	1928/29	„	„	3	„	100	„	„	3	„	98

W roku 1929/30 klas męsk. 3, uczniów 113, klas żeńskich 3 (2 dwuoddz.) 135; w roku 1930/31 klas męsk. 3, uczniów 127, klas żeńskich 3 (2 dwuoddz.) 166. W roku 1930/31 istniała jeszcze dodatkowa specjalna klasa IV-ta; razem było w szkole 310 uczniów i uczennic.

Otrzymało świadectwa z ukończenia szkoły ogółem 212 chłopców i 81 dziewcząt (w ostatnim roku 29 chłopców i 32 dziewcząt). Z abiturjentów rekrutują się przeważnie średni i drobni pracownicy buchalteryjni w bankach, zakładach handlowych i przemysłowych, urzędnicy rachunkowi w biurach państwowych i samorządowych i t. p.

Nauczycieli w pierwszych latach miała szkoła 8—13, w ostatnich 15—21 (w tem 9 stałych). Dyrektorem szkoły w latach 1919/20 — 1921/22 był ś. p. Wincenty Kirchner, od r. 1922 do chwili obecnej p. Feliks Krzakowski. Od ro-

ku 1930 szkoła posiada własny — jeszcze nie wykończony — gmach przy ulicy Kopernika.

7. Państwowe seminarjum nauczycielskie imienia Stefana Żeromskiego zostało otwarte za czasów okupacyjnych 13 grudnia 1916 roku. W pierwszym roku istnienia posiadało dwa kursy, w r. 1918/19 było już pełną 4-kursową szkołą, od roku zaś 1921/22 wprowadzono 5-cio letni kurs nauki. Początkowo seminarjum mieściło się na parterze gmachu b. rosyjskiego seminarjum żeńskiego (1-e piętro zajmowało podówczas obecne gimnazjum im. Mikołaja Reja); od 1 listopada 1930 roku przeniesiono seminarjum do częściowo wykończonego nowego gmachu przy ulicy Kapitulnej.

Liczba uczniów wynosiła:

w roku		w roku		w roku	
1916/17	— 74	1921/22	— 177	1926/27	— 186
1917/18	— 102	1922/23	— 202	1927/28	— 183
1918/19	— 142	1923/24	— 196	1928/29	— 176
1919/20	— 158	1924/25	— 195	1929/30	— 178
1920/21	— 142	1925/26	— 189	1930/31	— 174

W ciągu 13-stu lat ukończyło kurs nauk 302 abiturjentów (w trzech ostatnich latach 22, 24 i 22).

Przy seminarjum istnieje 4-o klasowa szkoła ćwiczeń z programem szkół powszechnych (czterech wyższych oddziałów), uczniów w tej szkole było od 100—130. Nauczycieli liczyło seminarjum początkowo 11-stu, a od czasu wprowadzenia 5-cio letniego kursu nauk — 15-stu.

Dyrektorami byli: w r. 1916 ś. p. Józef Wiśniewski; od 1 maja 1917 r. do września 1920 r. dr. Jarosław Wit-Opatony; potem do r. 1931 ś. p. Hugo Kuderna, a obecnie od 1 sierpnia 1931 r. dyrektorem został mianowany p. Jan Nowak.

8. Seminarjum nauczycielskie-żeńskie imienia Królowej Jadwigi wyrosło na podłożu dawnej szkoły żeńskiej ś. p. Emilji Znojkiewiczowej.

Szkoła ta do r. 1926 istniała jako 8-io klasowa (od 1920 roku) gimnazjum żeńskie, a po śmierci ś. p. Znojkiewiczowej została nabyta przez Towarzystwo Opieki nad gimnazjum Św. Stanisława Kostki i przekształcona na żeńskie seminarjum nauczycielskie. Kurs nauk jest 5-cio letni; w pierwszym roku (1926/7) seminarjum posiadało 3 kursy normalne i dwa przygotowawcze dla uczennic, które przeszły z niższych klas dawnej szkoły E. Znojkiewiczowej; od

r. 1928/9 ma już pełne 5 kursów. Program nauk i prawa kończących seminarjum są takież same, jak w państwowych seminarjach nauczycielskich.

Liczby uczennic w ciągu 5-iu lat istnienia szkoły były: W r. 1926/7 — 195; w r. 1927/8 — 190; w r. 1928/9 — 205; w r. 1929/30 — 180; w r. 1930/31 — 169.

Ukończyło seminarjum: w r. 1928/9 — 23 abiturjentki; w r. 1929/30 — 34; w r. 1930/31 — 17.

Ilość osób nauczających wahała się od 20—24; w roku 1930/31 było ich 24 (stałych i dochodzących z innych szkół).

Dyrektorem szkoły w r. 1926/7 był Antoni Skucha; w r. 1927/8 — p. Helena Pasławska, a w ostatnich 3-ch latach p. Natalja Smolińska.

Przy seminarjum istnieje 4-o klasowa szkoła powszechna koedukacyjna (t. zw. szkoła ćwiczeń) otwarta w roku 1927/8 w składzie 2 klas i stopniowo doprowadzona do 4-ch klas. W r. 1928/9 w szkole ćwiczeń uczyło się 107 dzieci, w 1929/30 — 165; w r. 1930/31 — 200.

Z pośród 8-iu szkół średnich ogólno-kształcących i specjalnych, o których mówiliśmy, dwie: gimnazjum męskie im. Stanisława Kostki i seminarjum nauczycielskie żeńskie im. Królowej Jadwigi są przeznaczone wyłącznie dla uczniów względnie uczennic wyznania katolickiego, do pozostałych uczęszczają dzieci także innych wyznań, procent jednak dzieci żydowskich jest w nich naogół nieznaczny. Natomiast istnieją dwa 8-io klasowe gimnazja wyłącznie żydowskie żeńskie i męskie.

9. Prywatne gimnazjum żeńskie Stefanji i Władysława Zimnowodów było początkowo od września 1910 r. 4-o klasową szkołą p. Stefanji Wolmanowej; od r. 1915 zostało rozwojowem gimnazjum (miało wówczas 5 klas), a od r. 1920 — pełnem 8-io klasowem gimnazjum — typu humanistycznego z prawami gimnazjów państwowych. Od września 1929 r. stanowi własność Stefanji 1-o voto Wolmanowej i Władysława małżonków Zimnowodów. Językiem wykładowym był i jest język polski.

W pierwszych latach 15-sto letniego istnienia szkoły — jako gimnazjum — liczba uczennic była bardzo znaczna (w latach 1917/18, 1918/19, 1919/20 — 435, 408, 382), następnie nieco spadła, w ostatnich 4-ch latach wynosiła 232, 235, 228 i w roku 1930/31 — 220.

Ilość maturzystek, które ukończyły szkołę, poczynając od r. 1920/21 w pierwszych latach była nieliczna (5—10),

w ostatnich 4-ch latach wydano świadectw maturalnych 15, 17, 19 i 20 (w ostatnim roku), ogółem od 1920/21 r. gimnazjum wypuściło 131 maturzystek.

Liczby nauczycieli i nauczycielek wahały się od 12 do 23, w ostatnich 2-ch latach było po 16-stu.

Dyrektorką szkoły od r. 1910/11 do 1919/20 była p. Stefanja Wolmanowa, a od 1920/21 do 1923/4 — Jan Dinces, następnie przez rok — Włodzimierz Rabinowicz, a po nim również przez 1 rok — Marja Friedman - Padwina, wreszcie od r. 1928/9 objęła dyrektorstwo ponownie p. Stefanja Wolmanowa - Zimnowodzina.

10. 8-o klasowe gimnazjum męskie gminy izraelickiej w Kielcach zostało założone w r. 1918 i posiadało początkowo klasę wstępną 3-y oddziałową i dwie klasy pierwsze, uczniów liczyło około 150, potem stopniowo w miarę przybywania klas liczba uczniów wahała się od 150 — 180; w r. 1925 doszło do 8-u klas, lecz w latach 1926/7 i 1927/8 ósmej klasy nie posiadało (uczniowie zdawali matury jako eksterni w gimnazjum Reja). Od roku 1928/9 gimnazjum otrzymało prawa szkół państwowych według kategorji B. Program odpowiada państwowym gimnazjum humanistycznym z dodatkiem nauk judaistycznych (obowiązkowe przedmioty stanowią język hebrajski i historja żydów).

W ostatnich 3-ch latach liczba uczniów wynosiła w r. 1928/9 — 155, w roku 1929/30 — 158, w r. 1930/31 — 155; maturzystów było w ciągu tych 3-ch lat 31 (5, 15 i 11).

Nauczycieli gimnazjum liczyło w tychże latach 18, 18 i 19, w tych liczbach stałych nauczycieli było po 13, reszta dochodzących z innych szkół. Dyrektorami byli: w r. 1918/19 dr. Noe Braun, w następnych 2-ch latach inżynier A. Russak, dalej przez 3 lata I. Zieliński, a od r. 1925/26 do chwili obecnej p. dr. Salomon Feuer.

Sprawy administracyjno - gospodarcze prowadzi zarząd gimnazjum, wybierany corocznie przez walne zgromadzenie, złożone z rodziców uczącej się młodzieży i sympatyków szkoły; prezesem zarządu jest obecnie p. Z. Herman.

Zebrawszy w jedną całość liczby uczących się w roku 1930-31 w szkołach średnich Kieleckich — ogólnie kształcących i specjalnych, otrzymujemy w sumie **2.512** młodzieży szkolnej, (1330 chłop. i 1182 dziew.), z pośród której ukończyło kurs nauk w r. 1930-31 — 234 osoby; nauczycieli było 234, a wraz z dyrektorami i przełożonemi około 250.

IV

Znacznie bujniej niż szkolnictwo średnie rozrosło się w Kielcach szkolnictwo t. zw. powszechne tak pod względem organizacji szkół, jak i pod względem ilości uczących się w nich dzieci.

Na zasadzie ustawy z 17 lutego 1922 r. o zakładaniu i utrzymywaniu publicznych szkół powszechnych utworzono sieć szkolną i przeprowadzono scalenie rozdrobnionych poprzednio szkół powszechnych, przechodząc jednocześnie do przedmiotowego systemu nauczania. Proces ten odbywał się stopniowo:

W r. 1919-20 było szkół 7-o klas. — 1, 4-o klas. — 4, 2 klas. — 1, nauczycieli 36.

1920-21 było szkół 7-o klas. — 1, 5-o klas. — 5, 4 klas.— 2, 2 klas. — 1, naucz. — 44.

1921-22 było szkół 7-o klas. — 1, 6-o klas. — 3, 5-o klas — 4 klas. i 2 klas. po 1-ej, naucz. 50.

1922-23 było szkół 7-o klas. — 3, 5 klas. — 1, 4 klas. — 2, 2 klas. — 1, nauczycieli — 68.

1923-24 było szkół 7-o klas. — 3, 6 klas. — 1, 4 klas. — 2, 2 klas. — 1, nauczycieli — 68.

1924-25 było szkół 7-o klas. — 4, 4 klas. — 2, 2 klas. — 1, nauczycieli — 70.

Proces ten zakończył się w r. 1926-27, gdy zorganizowano 5 pełnych szkół 7-o klasowych, które otrzymały nazwy im. Staszica, im. Konopnickiej, im. Sienkiewicza, im. Konarskiego i Szkoły Kolejowej otwartej staraniem pracowników kolejowych, za poparciem władz kolejowych i przeznaczonej głównie dla dzieci kolejarzy. Liczba nauczycieli dosięgła już w r. 1926 — 73.

Od r. 1929-30 istnieje już sześć szkół 7-o klasowych, pobiera w nich naukę 5892-oje dzieci; nauczycieli jest ogółem 99; z powodu braku lokali nauka odbywa się zwykle na dwie zmiany, a klasy mają po parę i po kilka oddziałów.

Najstarszą co do daty powstania, bo założoną jako szkoła elementarna 10 maja 1819 r. przez Stanisława Staszica, — jest obecna 7-o klasowa szkoła męska, nosząca imię swego założyciela, mieszcząca się we własnym (miejskim) gmachu przy ul. Pocztowej, rozszerzonym przed kilku laty nadbudowaniem drugiego piętra. Szkoła w czasie od 1919 do 1931 r. miewała od 466 — 882 uczniów, od 9 do 13 oddziałów i od 9 do 21 nauczycieli.

Obecnie (r. 1930-31) ma 698 uczn., 7 oddziałów (tyleż co klas) i 13 nauczycieli.

Chłopców, kończących całkowity kurs szkoły, w latach 1919 do 31 było po dwudziestu kilku do trzydziestu kilku rocznie (w r. 1929/30 — 31, w roku 1930/31 — 39). Kierownikami szkoły w latach 1919—31 byli p. Marjan Łebkowski, a po jego ustąpieniu obecny kierownik p. Antoni Sędek, obaj długoletni i zasłużeni pracownicy.

Najliczniejszy zastęp uczących się posiada 7-mio klasowa szkoła żeńska im. Marji Konopnickiej; mieści się w nowozbudowanym gmachu miejskim przy ulicy Tadeusza Kościuszki. Powstała jako początkowa szkoła żeńska za czasów zaborczych w r. 1880. W okresie 1919—1925 r. miała już od 328 — 703 uczennic, a od roku 1925 około 1.200; w r. 1930/31 było uczennic 1.214, 20 oddziałów (w 7 klasach) i 18 nauczycieli; liczba kończących szkołę do r. 1926/7 wynosiła około 30 rocznie, w następnych latach około 60-ciu (w r. 1930/31 — 63). Kierowniczką szkoły od 1919 do obecnej chwili jest p. Antonina Ruskówna.

Pozostałe szkoły — koedukacyjne — nie są skupione, gdyż dotychczas nie posiadają odpowiednich gmachów; poszczególne klasy i ich oddziały mieszczą się w lokalach, wynajętych w różnych stronach miasta. W r. 1930/31 miały one razem 3.980 uczniów i uczennic; ukończyło całkowity kurs nauki w szkołach tych około 200 młodzieży. Do liczby dzieci w szkołach powszechnych — 5.892 doliczyć należy jeszcze 200 dziewcząt, uczących się w szkole ćwiczeniowej przy seminarjum nauczycielskiem im. Królowej Jadwigi i 130 chłopców w takiejże szkole przy seminarjum nauczycielskiem im. Stefana Żeromskiego.

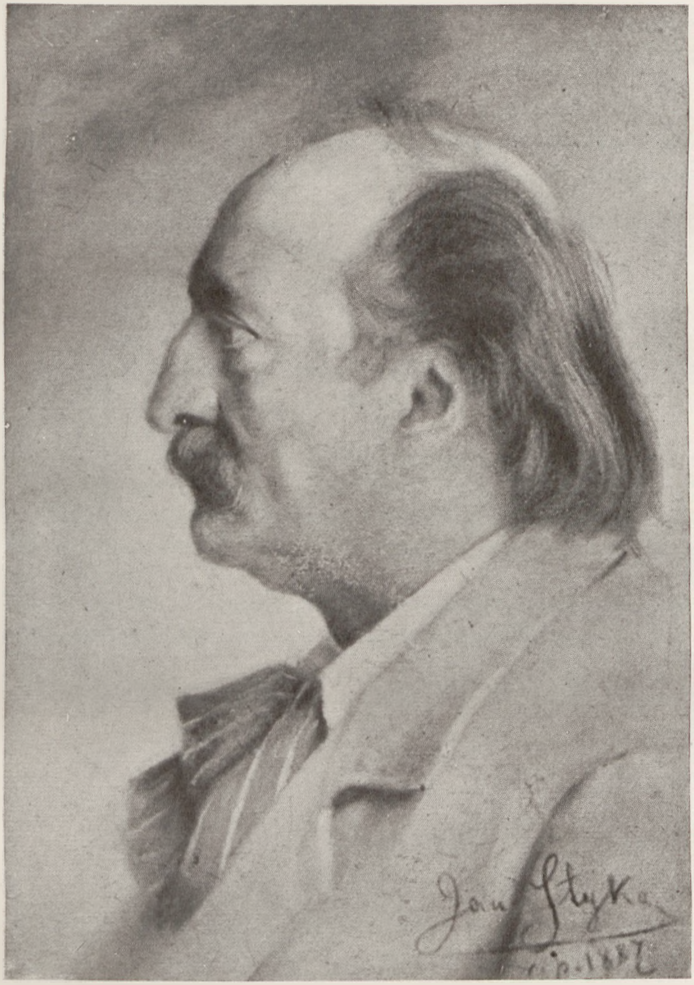
Ogółem przeto w szkołach powszechnych uczyło się w Kielcach w r. 1930/31 6.222 dzieci obojga płci, a ukończyło pełny kurs nauki 302. Obok szkół powszechnych należy postawić *żeńską szkołę zawodową Polskiej Macierzy Szkolnej*, założoną w r. 1928/9. Jestto niższa szkoła zawodowa, do której przyjmowane są dziewczęta z ukończonymi 4 oddziałami szkoły powszechnej. Kurs szkoły trwa 3 lata. Oprócz przedmiotów ogólnie kształcących, jak w szkole powszechnej, dziewczęta uczą się krawiecczyzny (przytem nieco towaroznawstwa) i gospodarstwa domowego.

W r. 1928/29 istniał 1 kurs, który liczył 35 uczennic.

W r. 1929/30 było 2 kursy, które liczyły 50 uczennic.

W r. 1930/31 było 3 kursy, które liczyły 80 uczennic.

W ostatnim roku otrzymało świadectwa z ukończenia szkoły 21 uczennic. Nauczycieli i nauczycielek było w pierw-



FELIKS JAROŃSKI
Muzyk 1823 — 1895
Według portretu Jana Styki.

szych dwóch latach 8, obecnie 11. Przełożoną szkoły w r. 1928/9 i 29/30 była p. Marja Macewiczowa, obecnie jest nią p. Zofja Stępińska.

Szkoła jest częściowo subsydjowana przez Ministerstwo Oświec. Publ. (z dodatków do świadectw przemysł.), częściowo przez Macierz Szkolną.

Ostateczne dane statystyczne, do których dochodzimy dla r. 1930/31, są: ilość uczącej się młodzieży w szkołach średnich 2.512, w szkołach powszechnych i niższej zawodowej 6.302, razem — 8.814; ilość abiturjentów w szkołach średnich 234, w powszechnych — 323. Liczba ludności w Kielcach w r. 1930/31 około 56.000.

W r. 1913/14 (ostatnim przedwojennym) młodzież, ucząca się w szkołach średnich, stanowiła 4,5% ówczesnej ludności Kielc, a dzieci, uczące się w szkołach początkowych—3,7%; w roku 1930/31 młodzież szkół średnich wynosiła 4,5% obecnego zaludnienia miasta, a dzieci w szkołach powszechnych — 11,3%.

W r. 1913/14 w szkołach średnich pracowało około 110 nauczycieli i nauczycielek, w szkołach początkowych—25 osób; w r. 1930/31 szkoły średnie zatrudniały 135 nauczycieli; szkoły powszechne (wraz z ćwiczeniówkami i niższą zawodową) 110 osób.

Stąd wniosek, w jakim głównie kierunku postępował rozwój szkolnictwa w Kielcach w okresie powojennym.

BOLESŁAW MARKOWSKI

E P I S T O L A R I U M

1. ANDRZEJ TOWIAŃSKI DO FELIKSA JAROŃSKIEGO

Bracie Felixie i Siostro Stefanio!

Ostatni list wasz Kochani Bracia, uradował duszę moią i podziękowałem Bogu za to Miłosierdzie które nie przestanie zasilać powołanych do służenia Świętej Sprawie JEGO. Pełen iestem nadziei że, powiększoną w miarę przeciwności Ofiarą waszą utrzymacie przyięte przez Was dążenie Chrześciiańskie i dążeniem tem przyłożycie się do szerzenia się i wzmacniania się kieleckiej gromadki naszey, która, Bogu dzięki, wydała iuż w obliczu świata owoce miłości i poświęcenia się swoiego dla Sprawy Świętey, owoce charakteru Chrześciiańskiego który niezapiera się przed światem Chrystusa Pana i prawdy Jego.

W takiey to nadziei przesyłam Wam Kochani Bracia, moie życzliwe braterskie pozdrowienie iako,

Brat i sługa Wasz
w Chrystusie

A n d r z e j   T o w i a ń s k i

26-go Paździer.
1866 r. Zurych —

(Na adresie:) Bratu Felixowi Jarońskiemu.

List powyższy, pochodzący ze zbiorów śp. Wiktora Jarońskiego, przenosi nas w te czasy, które tak barwnie opisywał Tadeusz Rybkowski w poprzednim roczniku „Pamiętnika Koła Kielczan" (za r. 1930 — 31). Wuj Rybkowskiego słynny lekarz kielecki, Antoni Andrzejowski był towiańczykiem. „Wuj z wujenką — pisze Rybkowski (s. 68) — corocznie wyjeżdżali zagranicę i przebywali w Szwajcarji przy Towiańskim. Mieli w kraju kilkanaście rodzin, którzy byli i których nazywano Towiańczykami i którzy do dzisiejszego dnia żyją na zasadach nauki Towiańskiego. A przecież należą do najlepszych katolików i najzacniejszych ludzi".

Innego zdania o towianizmie był śp. ks. Teodor Czerwiński. W „Pamiętniku" swoim (t. II, s. 11 i in.) pisze: „Od kilkunastu lat bałamucili średnią inteligencję w Kielcach Towiańczycy, a jedna z córek Towiańskiego, litwina emigranta osiadłego w Szwajcarji, pseudo-mistyka, marzącego o nowej epoce religijności, którą on miał rozpocząć i sprawą bożą nazywał, bawiła stale u doktorostwa Andrzejowskich. Ta rodzina, poza owem bałamuctwem z emigracji pochodzącem, uczciwa i uczynna oddana panu Andrzejowi, znalazła kilku popleczników dla towianizmu i jego mesjanizmu w rodzinie Jarońskich, Dzwonkowskich, szewca Kańskiego i in.".

Podobnie jak Andrzejowski, bywał w Zurychu Feliks Jaroński, muzyk (ojciec Wiktora). Z Warszawy bywali tam współwyznawcy Towiańskiego Józef Noskowski, ojciec muzyka Zygmunta i Feliks Niemojewski, ojciec literata Andrzeja. W latach 1858 — 1867 ruch ideowy Sprawy Bożej bardzo był rozpowszechniony. Kierowniczą rolę w tym ruchu odkrywał obok Andrzejowskiego ruchliwszy od niego Niemojewski. W Warszawie odbywały się niemal jawnie zebrania Towiańczyków. „Była taka sekunda — pisze o tych czasach Stan. Wasylewski — na bezdrożu ideowem 1863 r., w której mogło się zdawać, że ten ruch urośnie do rozmiarów wielkiego prądu duchowego, jak np. pozytywizm".

List powyżej zamieszczony, pisany na arkusiku papieru listowego i po złożeniu bez koperty zaadresowany, przywiózł zapewne z Zurychu Feliks Niemojewski. Istnieje bowiem z tego roku właśnie znana w druku rozmowa Towiańskiego z Niemojewskim, coby dowodziło o jego tam bytności.

Przypominamy, że bliższą wiadomość o Feliksie Jarońskim zamieściliśmy w „Pamiętniku" z r. 1929. Obecnie podajemy jego podobiznę według portretu Jana Styki.

Następna grupa listów: dwa listy Matejki, list Sadyka Paszy, oraz list K. Ujejskiego — wiąże się z Kielcami w ten sposób, że pochodzą z kieleckiego archiwum Jarońskich. Śp. Wiktor Jaroński przechowywał je jako pamiątki po ciotce Gropplerowej i przed śmiercią ofiarował je piszącemu te słowa. Wyjaśniałem to już w „Pamiętniku" za r. 1928 (str. 100 i in.), jaki stosunek łączył Gropplerów z Konstantynopola z Jarońskimi i z Matejką. Listy poniższe Matejki

pisane są: pierwszy do Henryka Gropplera, drugi do jego żony Ludwiki, siostry Jarońskiej. Owym Tosiem, o którego Matejko w drugim liście się troszczy, był siostrzeniec Gropplera Pleszewski. Był to młody i obiecujący wiele rzeźbiarz. Ciężko chory na suchoty, zmarł w zaraniu życia. Matejkowie odwiedzali Gropplerów w Konstantynopolu. Istnieje pejzaż jego pendzla z nad Bosforu. W listach Matejki górującym motywem jest wielka troska domowa. Żona ciężko chora na rozstrój nerwowy nie mogła zapewnić należytego spokoju wielkiemu artyście. A niedostatek materjalny stale tej złej doli towarzyszył.

2. JAN MATEJKO DO HENRYKA GROPPLERA

Kraków, d. 2/11 872 r.

Drogi mój Henryku!

Gubisz się pewnie w myślach co powodem milczenia twemu Janostwu. — Czy przypadkiem nie Standrecht w miłem naszem mieście Krakowie?

Otóż wcale nie: nigdy od czasu wolnego a ściśle neutralnego poręczenia trzech państw ościennych nie cieszył się Kraków taką wolnością i swobodą uczęszczania pod Matkę Boską lub Jaszczurki jak dziś, nigdy takiej swobody po szerokich ulicach (z wyjątkiem niewinnie podchmielonego jakiegoś towarzystwa wracającego zapewne ale nie do domu) jako dziś — słowem wszystko jak najlepiej: nic też więc na swoje uniewinnienie napisać nie mogę — nie obraziwszy najoczywiściej szanownych mieszkańców rodzinnego naszego miasta. Były tam wprawdzie małe przeszkody... ale o takich nie warto i mówić: wszak to zbyt pospolite rzeczy w Krakowie by o nich wspominać Krakowianom, choćby mieszkającym w Stambule np:

Nawiasowo powiem tylko, że mój budowniczy pilnował najmocniej dwuch pozycyj wyszczególnionych na odwrotnej stronnicy, t. j. Matki Boskiej i Jaszczurek i to zapewne niedozwoliło mu myśleć o takich głupstwach jak o budowie, aż tam gdzieś na florjańskiej ulicy położonej, ustrojonej w Nr. 363.

Aby bronić należycie główną fortecę można zbużyć forty dalsze, przykładów niebrak np. przy oblężeniu Paryża Wszystko to jeszcze łatwe do zniesienia, będąc przekonanym, że po zimie to nastąpi zwszelką pewnością wiosna roku przyszłego ale jeśli co może cośkolwiek wpłynąć na zmianę dobrego chumoru, to ponowny kosztorys mego nadwornego architekta p. Ertla. Ale to głupstwo niewarto

mówić o niem: tylko kilka tysięcy guldenów. Niech żyje wolność równość niepodległość i braterstwo krakowskie!!!

Za przyjazdem zastaliśmy Golichowskich zpowrotem z Ameryki. Mimo pierwszych radości nie można było nie dojrzeć niechęci z powodu budowy naszego wielce obiecującego pałacu. Jak się zdaje mieli zamiar wziąść dom po rodzicach i tak otworzyć aptekę. O gdyby można kilka miesięcy cofnąć jakżebym chętnie ustąpił tej nieocenionej przyjemności właściciela domu przy Ul. florjańskiej pod Nr. 363.

Szczęśliwie, że stronnica nieobszerna, skończyć więc musiałem androny, nie mogące Wam robić przyjemności. Dla rozweselenia muszę dodać, iż już trzech moich znajomych prosiłem, by mi dopomogli do ucieczki z Krakowa.

Dopiero dziś potrafię należycie ocenić ó w l e t a r g stambulski. Bodaj to pływać kaikiem a wracać na wino z brzoskwiniami po których tylko wspomnienie zostało. Resztę przegawędzić z Wami i przespać w Bebekach. Trudno mi jak widzisz wziąść się do listu, ale trudniej jeszcze przestać pisać. Kto wie, może dzięki tureckiej mojej pisowni od przeczytania połowy uwolnionym będziesz?

Weksel na 3400 fr. przesyłając przepraszam serdecznie za wszelkie kłopoty jakieś jeszcze mieć musiał z dywanami przy expedycyi tychże.

Cieszymy się nadzieją rychłych znów od Was wiadomosci. Zostajcie z Bogiem a niezapominajcie o Waszych Schlafkamratach. Serdeczny pocałunek z pozdrowieniami obojgu za wszystkich

J a n.

Siostrunia osobny list wybuduje i dlatego nie przypisuje się dziś wcale.

3. JAN MATEJKO DO LUDWIKI GROPPLEROWEJ

w Krakowie d. 27/9 888 rp.

Droga Siostro!

Z przerażeniem dowiedziałem się od Pani Wielandowej i listu Siostry do tejże, o groźnej chorobie naszego Tosia. Pytasz się Siostro o radę? Doprawdy co radzić nie wiem a po rozwadze głębszej przychodzę do przekonania iż postąpić należy wedle życzeń chorego, jeżeli naturalnie ten jest obecnie zdolnym podróż dłuższą odprawić. Gdyby to zdecydowanem było — pozostanie Jego w Krakowie, czy wogóle w kraju, jest zdaniem mojem niemożebne, gdyż je-

żeli klimat stambulski był dlań za ostrym, lub zmiennym, to przecież nasz porównać z nim niepodobna. W Meranie jest niezawodnie lepiej niż u nas, ale widziałem w roku zeszłym chorych uciekających stamtąd dla śniegów i mrozów jakie i tam zawitały. Chyba więc gdzieś niżej, jeżeli mógłby jechać wysłaćby go należało?

Domyślam się całego niepokoju i trwogi jakie Siostrę biedną owładają — tem bardziej wobec niezdrowia własnego i wspomnień okropnych.

Niech Pan Bóg doda siły do przyjęcia i zniesienia wszystkiego co boli. I u mnie nie wesoło — Teosia w Eggenbergu pod Grazem — leczy się a raczej odzwyczaja od Morfiny: czy kuracja poskutkuje lub niezaszkodzi — pokaże to przyszłość.

Od dni 12 bawię z dziećmi w Krzesławicach: jak zwykle pracuję i tam, bo konieczności nie dozwalają przerwy żadnej. Sam niebardzo zdrów ale wytrzymalszy od wielu zdrowych różnemi myślami nawiedzany często wspominam czasy lepsze — chwile u Was spędzone w Bebeku a i późniejsze jeszcze gdyście to i o Krzesławice przed paru laty zawadzili.

Dziś same kłopoty i smutki — pozostają dzieci o których troska przyszłości zaciąża nieraz.

Ale co ja piszę, wszak nie dla ulgi wygadania się zabrałem się do listu. Zatem lepiej donieść, że Zygmuntów obie Wańdzia i Zosia są jakby po deklaracyi, gdy to nastąpi nie zaniedbam donieść drogiej kochanej Siostrze, którą Boskiej Opiece jak i nas samych wszystkich polecam.

Tosia całuję serdecznie i pozdrawiam

brat
Jan Matejko

4. MICHAŁ CZAJKOWSKI DO HENRYKA GROPPLERA

Kochany Panie Groppler

Czekaliśmy Państwa Dobr. w przeszły piątek, teraz zaś uprzedzamy że jutrzejszego dnia ja będę mocno zatrudniony i zmuszony wyjeżdżać z domu a moja żona takoż będzie porządkowała — prosiemy tedy jeśliście łaskawi przyjechać do nas w Niedzielę na śniadanie — przed dwunastą — Pani rączki całuję a Pana serdecznie pozdrawiam

dobry przyjaciel
Mehmed Sadyk

10 List. 1853
Benililach

Jak wiadomo, Michał Czajkowski (Sadyk Pasza), powieściopisarz, przebywał wówczas w Turcji jako wysłannik ks. Adama Czartoryskiego. Mówił w liście o żonie, t. j. o Ludwice Śniadeckiej, która z nim burzliwe losy dzieliła. Była to owa Ludwika, kochana i opiewana przez Słowackiego. Z misją do Czajkowskiego, w czasie wojny turecko-rosyjskiej, przybył w dwa lata potem do Konstantynopola Mickiewicz i tu umarł. Mickiewicz bywał też u Gropplerów.

5. KORNEL UJEJSKI DO HENRYKA GROPPLERA

Szanowny Panie!

Miałem zamiar udać się do Stambułu i otrzymałem list polecający do Pana Dobrodzieja od wspólnego naszego przyjaciela p. Melka. Chociaż nieznany ale ufny w jego dobroć, ośmieliłem się polecić w kraju, aby niektóre listy posyłano mi pod imieniem M r. R é m i na ręce szanownego Pana. Również pod tym samym adresem miały mnie takie listy dochodzić na ręce bankiera p. Davida Glavaniego. Tymczasem ważne interesa zatrzymały mnie w Jassach na czas dłuższy i rozbiły pierwotny mój zamiar widzenia Konstantynopola. Udaję się z wielką prośbą do szanownego Pana Dobrodzieja, abyś raczył listy dla mnie przeznaczone a odebrane przez siebie lub przez p. Glavaniego odesłać mi do Jass pod adresem: Mr. U. Dobrzański employé au bureau télegraphique á Jassy.

Chciej szanowny Panie przebaczyć mi łaskawie moją odwagę w obarczeniu Go mojemi sprawami i przyjmij wyrazy mego uszanowania z którem zostaję

WWPana Dobrodzieja uniżonym sługą
K o r n e l U j e j s k i.

Jassy 19.10.60.

6. STEFAN ŻEROMSKI DO IGNACEGO DOMAGALSKIEGO

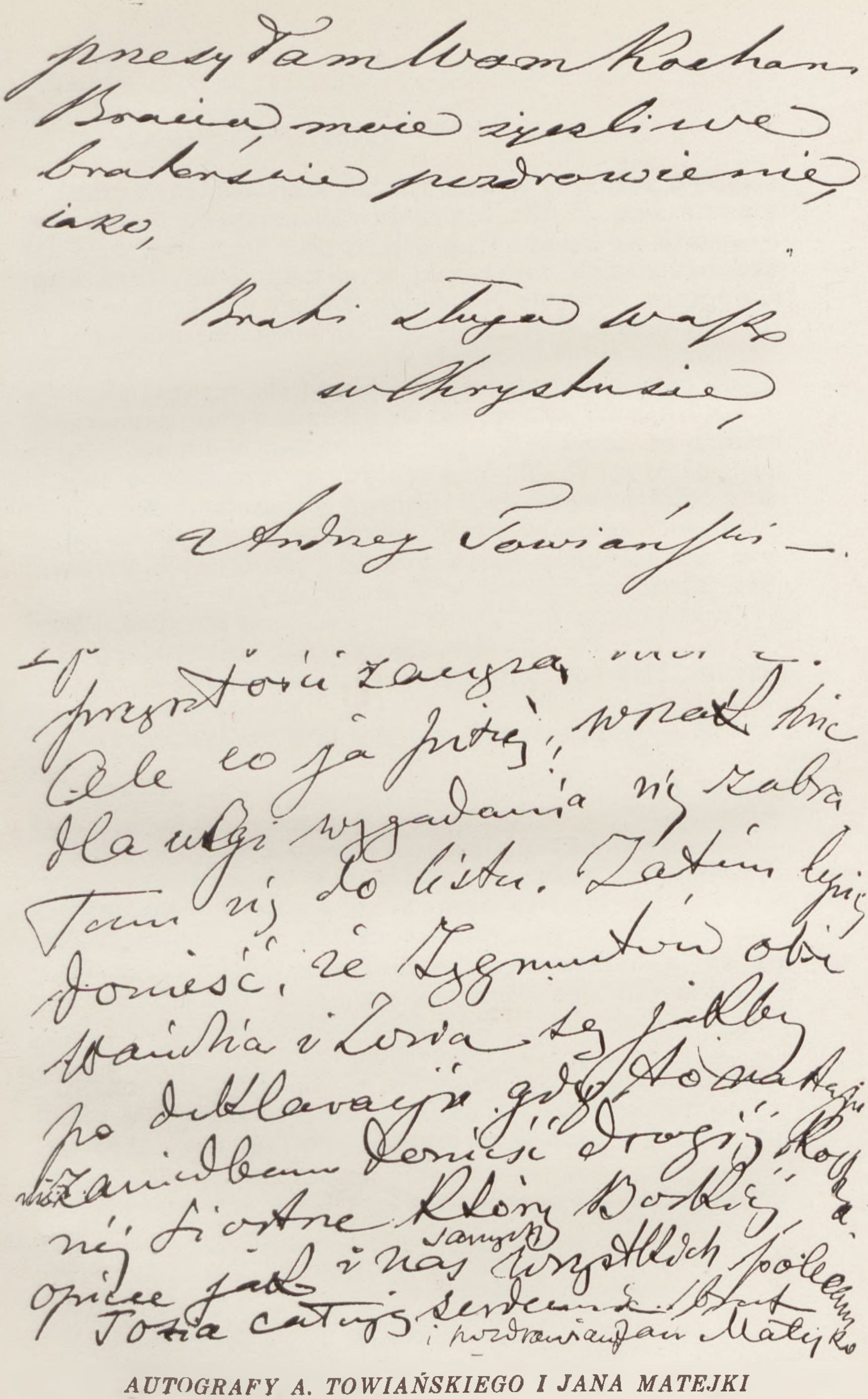
Stefan Żeromski po czteroletnim pobycie w Rapperswylu, powrócił do Warszawy w sierpniu 1896. Sześć tygodni tegoż roku w jesieni spędził w Kielcach. Pokazywał żonie miasto, w którem bywał od dzieciństwa, a potem uczył się

szereg lat. Zagranicą ciągle je wspominał; do najulubieńszych tematów jego (a lubił wspominać młodociane dzieje) należało opowiadanie o Kielcach. Patrząc na miasta szwajcarskie, zwłaszcza na instytucje, ciągle zestawiał je z Kielcami. One były miarą rzeczy dla Żeromskiego. Pani Oktawja Żeromska, wpadając w tęsknoty i egzaltację męża, przytakiwała jego pomysłom, w jaki to sposób po powrocie wezmą się do Nałęczowa, Kazimierza, Kielc i poczynią tam cuda cywilizacji helweckiej. Więc teraz sześć tygodni rozglądali się w pamiątkach i planach kieleckich. Żeromski miał już zamiar osiąść tam i nabyć miejscową gazetę, a za pomocą niej poruszyć z posad Kielce i pchnąć na nowe drogi.

Wiele takich projektów Żeromski marzył, wiele z nich utrwalał w broszurach. W tym wypadku rezultatem wezbranych dla Kielc uczuć była książka, oparta na wspomnieniach szkolnych „Syzyfowe prace". Pisał ją pewno kawałkami oddawna, teraz wykończył; już na początku roku 1897 — jak zobaczymy z poniższego listu — miał rzecz gotową do druku.

Pochodzi ten list ze zbiorów śp. Ignacego Domagalskiego. Żeromski znał go z Rapperswilu, gdzie pracowaliśmy razem w bibljotece w latach 1892 — 93. O tej współpracy i osobistości Domagalskiego dałem wiadomość we wspomnieniach o Żeromskim w „Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1929. Pisał obszerniej o nim i jego życiu Zdzisław Dębicki w swoich wspomnieniach lwowskich p. t. „Iskry w popiołach" (1931), wydanych na krótko przed śmiercią. Domagalski wskutek swoich niepospolitych zalet towarzyskich i organizacyjnych, stał się we Lwowie punktem centralnym dla kolonji warszawian, przebywających wówczas we Lwowie. Z ich namowy (dużą rolę odegrał w tem Jan Popławski) Domagalski w r. 1897 zarejestrował statut Towarzystwa Wydawniczego, które działało do r. 1914 i wiele wartościowych książek wydało.

Właśnie wtedy w styczniu lub lutym 1897 r. Domagalski otrzymał list od Żeromskiego. List ten, niżej przytoczony, nie ma daty, mogę jednak dość ściśle określić jego datę według treści, oraz według informacji podanej przez Stan. Piołun-Noyszewskiego w książce „Stefan Żeromski" (Warszawa 1928) na str. 342. Z listu widać, że pisał przed kwietniem, a co do roku świadczy o nim adres w liście podany. Żeromski mieszkał tam do wiosny 1897.


przesyłam Wam Kochani
Bracia moje życzliwe
braterskie pozdrowienie,
jako,

Brat i sługa wasz
w Chrystusie,

Andrzej Towiański —

[illegible] z przykrością zaczynam [illegible]
Ale co ja piszę, wreszcie nie
dla uwagi wygadania się zabrał
Tam się do listu. Zatem lepiej
donieść, że Zygmuntów obie
Wandzia i Zosia tej jakby
po deklaracji gdy [illegible] Matejki
[illegible] drogi [illegible]
się [illegible] który Boskiej [illegible]
opiece jak i nas wszystkich polecam
Zosia całuje serdecznie. Brat
i pozdrawiam Jan Matejko

AUTOGRAFY A. TOWIAŃSKIEGO I JANA MATEJKI

(Ob. art. „Epistolarium“).

List ten brzmi:

Kochany Panie Ignacy!

Jeszcze raz ośmielam się utrudzać Was prośbą o pomoc w wydaniu nieszczęsnego utworu. L. W. [1]), powróciwszy od Was, uwiadomił mię, że Konop. [2]) zgadza się drukować po 4 centy, dać zaliczkę w pierwszych dniach kwietnia w kwocie od 150 do 200 guldenów, ale druk rozpocznie dopiero po ukończeniu dwu powieści, t. j. „Ziemia obiecana" i „W Wielgiem" [3]), a więc dopiero kiedyś w październiku. Zważywszy, że powieść Reymonta jest bardzo długa, dwutomowa, że nie skończy się tak prędko, jak sądzi p. Konop. — nie mogę czekać tak długo. Być może, że dopiero w roku przyszłym rozpoczętoby druk, kiedy już treść mojej rzeczy może należeć do historji i wywoływać fatalne wrażenie nawet na mnie samym. Może wówczas musiałbym wycofywać ten druk, oddawać wzięte pieniądze itd. Wobec tego wszystkiego śmiem Was jeszcze raz prosić, ażebyście zechcieli zajść do red. „Słowa" [4]) i zapytać czy:

1) danoby takie warunki, jak w R. [5]),

2) czy wypłaconoby mi d. 1 kwietnia 200 guld. zaliczki po złożeniu rękopisu.

3) czy zaczętoby druk prędzej, jak słyszałem — w sierpniu.

Jeśliby to było wykonalne (szczególnie punkt 2), to radbym tam oddać rękopis.

Co do mnie, to z największą, najszczerszą chęcią oddałbym zaraz tę całość pierwszemu lepszemu nakładcy za 200 guldenów, byleby książkę zaraz wydrukował, bez druku w gazetach. Ale takiego, niestety, niema. Gdybym miał pieniądze, wydałbym to sam własnym nakładem, no ale cóż czynić, kiedy inaczej być nie może. Zgodziłbym się także gdyby nawet „Słowo" lub „Kur." [6]) dały po 3 cnt., gdyby tylko drukowano jak najprędzej.

Z ramotką tą chciałbym skończyć jak najprędzej, przestać o tem myśleć i zapomnieć, że istnieją podobne przedsięwzięcia. Ern. A. [7]) proponował mi jeszcze w grudniu do-

1) Zapewne Ludwik Włodek, dobry znajomy z czasów Rapperswilu i Zurychu.
2) Michał Konopiński, redaktor „Nowej Reformy".
3) Tytuł powieści Wacława Karczewskiego.
4) „Słowo Polskie" St. Szczepanowskiego we Lwowie.
5) „Nowa Reforma" w Krakowie.
6) „Kurjer Lwowski" B. Wysłoucha.
7) Ernest Adam, członek redakcji „Nowej Reformy".

skonałe warunki, bylebym rzecz na czas wykończył. Ja to wypełniłem i oto z winy Diega [1]), który miał całą rzecz ułatwić, zmuszony jestem żebrać o druk utworu, który w danej chwili mógłby służyć za argument, rozejść się i oddać usługę rzeczy publicznej. Nie przypisuję wcale przez to tej robótce jakiejś wartości, ale nie jest ona gorsza od jakiegoś „W Wielgiem". To też nigdy w życiu kusić się już nie będę o laury tego rodzaju.

Przepraszam Was najuprzejmiej za to, że czas zabieram, który użyty być przez Was może na sprawy większej wagi, ale nie mam nikogo z osób życzliwych, do kogobym się śmiał i mógł zwrócić. Raczcie odpowiedzieć mi w paru słowach.

Aleje Ujazdowskie 17, m. 12.

Wasz Żer."

Krótko mówiąc, interes wydawniczy dotyczy „Syzyfowych prac" Żeromskiego. Podpisał się na nich jako Maurycy Zych. Była to już trzecia książka jego: 1) „Opowiadania" (z nazwiskiem), 2) „Rozdziobią nas kruki, wrony" (M. Zych) i 3) „Syzyfowe prace" wydane z datą 1898 r. (ale już w r. 1897 drukowane) przez Tow. Wydawnicze. Domagalski bowiem chwycił okazję i wydał ową „ramotkę", która dziś liczy, zdaje się, siedem wydań.

Myli się tedy Noyszewski, utrzymując, że „Syzyfowe prace" drukowała „Nowa Reforma". Cały r. 1897 i część 1898 odcinek „Reformy" zajmowały znakomite powieści Reymonta i Karczewskiego, przedrukowywane z pism warszawskich.

Z „sukursem finansowym", o którym mówi Noyszewski, pośpieszył Domagalski. Być może, gdyby Diego zawczasu porozumiał się z Adamem (widocznie nie zatrzymał się w Krakowie) „Reforma" nie przyjmowałaby „W Wielwiem", zwłaszcza że w Galicji chętnie drukowano w dziennikach utwory niecenzuralne (za tanie pieniądze!) Zych zaś miał już doskonałą reputację po swoim poprzednim zbiorku nowel, wydanych w Krakowie.

Żeromski uważał pracę swoją za aktualną ze względu na zainteresowanie sprawą szkolnictwa w Królestwie. Właśnie wtedy pisał o niej szeroko Roman Dmowski w „Przeglądzie Wszechpolskim" (1896), czytanym pilnie przez Żeromskiego.

Z. W.

---

[1]) Diego — to był pseudonim Romana Dmowskiego, który wydawał wtedy z Popławskim we Lwowie „Przegląd Wszechpolski" i nieraz potajemnie bywał w Warszawie.

W S P O M N I E N I A

W Kielcach ujrzałem światło dzienne 29 sierpnia 1851 r. i miasta, do chwili wyjazdu na uniwersytet, prawie nie opuszczałem, wyjąwszy parę razy na wakacje lub święta wielkanocne; wiele więc rzeczy z moich lat dziecięcych i szkolnych dotąd dobrze pamiętam.

W Kielcach, oprócz szkoły początkowej miejskiej, była także szkoła, mieszcząca się w domu, należącym do kościoła ewangelickiego. Do niej uczęszczało nas chłopców rodziców zamożniejszych ze dwudziestu, zdaje się, samych katolików. Nauczyciel, nazwiskiem Arndt, chociaż ewangelik uczył nas zasad religji katolickiej z katechizmu ks. Putiatyckiego. Matka nauczyciela, bardzo sympatyczna staruszka, jeśli który z chłopców, za jakieś przewinienie, miał odsiedzieć tak zwaną „kozę", częstowała zbytnika bardzo dobrą kawą i bułką.

*

Przez jakiś czas matka moja, wraz z mężem, a moim ojczymem, mieszkała w Kielcach za tak zwaną „wodą", t. j. za plantami, na posesji Szmidta, blisko obecnego dworca kolejowego. Z miejsca tego doskonale było widać zamek. W lecie, wieczorem, a było to na kilka lat przed powstaniem, podczas burzy, piorun, uderzywszy w prawą, przednią wieżę zamkową, patrząc od katedry, zapalił jej wierzchołek ,a osmalił obraz i wieńczące go ramy złocone na suficie komnaty, przylegającej do wieży. Obraz przedstawiał pożar Moskwy. Pamiętam i widzę jeszcze jakby świecę czy latarkę na samym szpicu palącej się wieży.

Czengiery, dowódca stojącego wtedy wojska w Kielcach, chciał strzałem armatnim strącić wierzchołek palącej się wieży, ale odstąpił od zamiaru w obawie, aby kula nie upadła na osiedle ludzkie.

*

Ongi, był zwyczaj w Kielcach, że, latem, po południu każdego święta i każdej niedzieli, orkiestra kościelna, na ganku dzwonnicy katedralnej, wygrywała różne melodje

religijne, a wiaterek w promieniach słonecznych daleko, daleko je unosił ponad miasto, ogród spacerowy, staw, aż, hen, ku Karczówce!

8-go zaś grudnia, w dzień Niepokalanego Poczęcia N. M. Panny, wszystkie okna całego miasta i dzwonnica katedry rzęsiście były iluminowane, a dodać należy, że wtedy, przed powstaniem, ani jednego żyda nie było w Kielcach. Najwięcej zwracały uwagi obrazy, pięknie oświetlone w oknie wieży pod zegarem i balkonem, jak również w domu Olewińskich na rogu rynku i ulicy Długiej.

*

We wtorki, jako w dnie targowe, bardzo często, ważnych kryminalnych przestępców, pod silną eskortą przywożono z więzienia na rynek miejski i stawiano pod pręgierzem, jaki ustawiano przed magistratem, który mieścił się w tym samym gmachu, co dotychczas, tylko, po ostatnim pożarze, jaki miał miejsce przed 67-ciu przeszło laty, znacznie przerobionym i rozszerzonym.

*

Już jako dziesięcioletni chłopiec, pamiętam, jak w każde święto po nabożeństwie, szczególniej po majowem, duchowieństwo opuszczało katedrę, publiczność zaś zgromadziła się w prawej, bocznej nawie Matki Boskiej i śpiewała, ale z jakiem przejęciem się, z jakiem uczuciem, patrjotyczne pieśni: „Boże! coś Polskę“, „Z dymem pożarów“, „Serdeczna Matko“. Zawsze kończono te śpiewy pieśnią: „Wszystkie nasze dzienne sprawy“. Wśród publiczności nie małą rolę grali uczniowie gimnazjalni, a wśród nich, uczeń z wyższych klas, Bobrowski.

Wśród manifestacyj patrjotycznych, jakie w 1861 r. ogarniały całą Kongresówkę, pamiętam doskonale manifestacyjne wzniesienie, na pamiątkę Unji Lubelskiej (12 sierpnia 1568 r.) kopca, uwieńczonego krzyżem żelaznym, na cmentarzu kościelnym, tuż przy dzwonnicy katedralnej, po lewej jej stronie, patrząc od placu Panny Marji.

Takiż kopiec, lecz z krzyżem, zrobionym z kloca dębowego, z którego nie usunięto kory, był usypany na górze Karczówce ,niedaleko figury Chrystusa Miłosiernego.

Po pewnym czasie, może po paru czy kilku miesiącach, władze moskiewskie kazały obywatelom miejskim znieść kopiec przy katedrze, a kiedy ci nie chcieli tego uczynić,

wtedy żołnierze, podobno dragoni, krzyż, w nocy, z postumentu kamiennego wyjęli i zanieśli go do Ogrójca. Tam, krzyż ten, ze zgiętym dolnym końcem, który był wpuszczony w podstawę kamienną, sam widziałem. Również mam przed oczyma, jakbym jeszcze patrzał na resztki spalonego, ale jeszcze tlejącego się krzyża na Karczówce, na którego szczątkach widniało w jednem miejscu jeszcze nieco kory.

Podczas obchodu manifestacyjnego uczczenia śmierci Kościuszki nas chłopców najwięcej frapowały kule armatnie, jakiemi katafalk był ozdobiony, i zwieszający się na sznurze od stropu kościelnego szkarłatny, jakby otulający trumnę, baldachim.

*

W miejscu, na którem na cmentarzu kościelnym, wznosił się kopiec Unji Lubelskiej, po paru latach, był postawiony krzyż na pamiątkę uwłaszczenia włościan. Na poświęcenie tego krzyża przez biskupa Majerczaka, do czego był zmuszonym, sam patrzałem. I ten krzyż z czasem był usunięty i obecnie w tem miejscu wstawiono inny.

*

A rok 63-ci, toż to rok pamiętny!

Byłem już niedawno upieczonym uczniem gimnazjum kieleckiego, gdy pewnego popołudnia, wyszedłszy na rynek miejski, ujrzałem dość dużo ludzi, snujących się tu i ówdzie i przypatrujących się czemuś ciekawie. Były to dwie armaty, stojące przed magistratem, na którego piętrze mieszkał dowodzący wojskami generał Czengiery. Armat pilnowali żołnierze z obnażonemi tasakami. Jedna armata, prawa, patrząc od magistratu, zwrócona była wylotem w ulicę Długą, lewa — w Borzęcką. Po paru dniach, prawa — została skierowana w ul. Borzęcką, zaś lewa — w Długą, tak, że, w razie kanonady, rynek byłby ostrzeliwany krzyżowym ogniem.

Miasto dowiedziało się o zbrojnym wybuchu powstania.

A później, później... Iluż to powstańców wojsko rosyjskie przyprowadzało na ten rynek. Dwa, czy trzy razy pojawiły się armatki polskie. Widziałem dwie żelazne, podobno wzięte przez moskali z jakiegoś klasztoru, gdzie przechowywano je jako wiwatówki, używane podczas uroczystości kościelnych, a również parę armatek, zrobionych z kloców drewnianych, obitych blachą żelazną.

A ileż z tego rynku kieleckiego wyprawiono partyj powstańców, i to pieszo, bo kolei żelaznej jeszcze wtedy nie było, do cytadeli warszawskiej, a z niej jeszcze dalej i dalej.

Dwie egzekucje wyroku śmierci na powstańcach mam stale w pamięci, ale spełnienia wyroku nie widziałem, nie miałem na to odwagi. Jeden skazaniec, nazwiska nie pamiętam, dysponowany na śmierć przez ks. Englisza, który na pamiątkę po skazanym wziął jego czapkę, został powieszony, poza miastem, na polu, pomiędzy nowo- warszawską rogatką a karczmą Pacieszką. Nieszczęśliwy urwał się z szubienicy. Kat nie chciał drugi raz wieszać, dopiero jakiś żołnierz, wystąpiwszy z szeregów, wyroku dopełnił.

Nigdy nie zapomnę tego szczęku, stuku, brzęku jednocześnie zamykanych drzwi wszystkich sklepów w mieście i udania się mieszkańców do kościoła na nabożeństwo za duszę męczennika narodowego.

Drugi skazaniec to był oficer kozacki, prawosławny, nazwiskiem Longin, jeśli to dobrze pamiętam. Był to mężczyzna wysoki, szczupły, widziałem go nader nędznie odzianego, a dzień był jakiś chłodny, posępny, prowadzonego przez czterech żołnierzy: jeden szedł naprzód na parę kroków przed więźniem, drugi ztyłu, a dwaj inni po bokach. Ten konwój, zdążający do sądu wojennego, widziałem na obecnej ulicy Sienkiewicza, nieopodal dzisiejszego hotelu „Bristol". Ten nieszczęśnik, że poszedł do powstania, został rozstrzelany za naszym starym cmentarzem.

*

Na kilka lat przed powstaniem przystąpiono do odnawiania zamku, w którym mieścił się Trybunał. Wtedy usunięto kraty z okien parterowych, zwróconych w stronę katedry. Kraty nie były w samych oknach, lecz nazewnątrz ich. Pręty krat nie szły pod kątem prostym do framug okiennych, lecz ukośnie, przyczem dolna połowa krat była, co najmniej, dwa razy dalej odsunięta od samych okien, niż ich górna połowa.

Górne części wszystkich czterech wież zbudowane z drzewa były zamienione przez nowe, pokryte nową blachą. Na samych wierzchołkach wież, od strony katedry, umieszczono gwiazdy o złoconych promieniach, rozchodzących się w różnych kierunkach; na szczytach dwóch pozostałych wież widniały metalowe chorągiewki. Wewnątrz

zamek również był odnawiany, a w sali portretowej biskupów krakowskich pamiętam rusztowania, wzniesione dla malarzy.

Jakże cudowny widok, w dzień letni, pogodny, przedstawiał się patrzącemu się z góry Karczówki na wzniesiony na wzgórzu zamek biskupi, jego cztery wieże i dwie kościelne: dzwonnicę i sygnaturkę, skupione jakby w jednym uścisku, szczególniej, gdy promienie słońca, chylącego się ku zachodowi, igrały w oknach zamku i łamały się na szczytach wież. Widokowi temu nieraz nadawano nazwę: „Małego Wawelu".

*

Lecz niedługo pozwoliły losy zachwycać się kielczanom tak wspaniale odnowionym zamkiem.

*

Przyszło powstanie. Utworzono gubernię kielecką. W zamku zamieszkał gubernator. Temu nie podobało się mieszkać, jak mówiono, w kościele katolickim. Wszystko, co przypominało w kraju świetność Polski, starano się niszczyć, burzyć. Więc w Kielcach nowe wieże zamkowe zburzono, wszystkie odrzwia marmurowe z insygniami biskupiemi wyrwano, zamieniając je zwyczajnemi drewnianemi. Marmury poszły do soboru prawosławnego, który zaczęto budować. Figury kamienne: dwóch moskwicinów i dwóch szwedów, które stały nad bramami pomiędzy wieżami a głównym korpusem zamku, zrucono z piętrowej wysokości i pogruchotano na kawałki, nie pozwalając naczelnikowej Zielińskiej zabrać do swojej galerji obrazów. Ocaloną w całości głowę jednej figury, zegarmistrz Brzechfa zabrał, aby powiększyć wagę ciężaru, przywodzącego w ruch zegar na dzwonnicy kościelnej, o czem władze, dowiedziawszy się, głowę zabrały i potłukły, a zegarmistrza pociągnięto do tłumaczenia się.

*

Dla mającego się budować soboru prawosławnego, a postanowiono go wznieść jak można najbliżej kościoła katedralnego, zburzono tak zwaną: „Bramę Krakowską", ponad którą prowadził korytarz od zamku do klasztoru ks. ks. marjawitów, dzisiejsze gimnazjum męskie, dalej do kościo-

ła św. Trójcy i seminarjum duchownego. Brama ta łączyła plac Panny Marji z dzielnicą miasteczka, zwaną Krakowskiem Przedmieściem.

Matka moja opowiadała mi, że, kiedy poraz pierwszy, zaraz po rewolucji 31 r., przyjechała z Warszawy do Kielc, to znalazłszy się przed Bramą Krakowską sądziła, że dopiero tutaj zaczyna się prawdziwe miasto, tak bardzo nędzną mieściną przedstawiały się ówczesne Kielce.

*

W roku 1870 zostało otwarte w Kielcach rosyjskie progimnazjum żeńskie w domu, położonym przy ogrodzie spacerowym, należącym niegdyś do naczelnika Zielińskiego. Na otwarciu owego progimnazjum, jako delegaci 5-ej klasy gimnazjum męskiego, byłem wraz z kolegą Sfiftem i doskonale pamiętam ohydną mowę nauczyciela Handrykowa, dowodzącą, że dotąd dziewczęta polskie wychowywane były tylko na niańki i kucharki. Na takie perfidne pojęcie o roli kobiety polskiej ks. biskup Majerczak u stóp wielkiego ołtarza katedry z wielkiem oburzeniem odpowiedział, że naród polski miał nietylko dzielne niewiasty, ale wśród nich i święte i uczone, jak Hofmanowa, Drużbacka i inne.

*

Na zakończenie tych wspomnień muszę dodać, że w roku 1872, w którym kończyłem gimnazjum, zmarł uwielbiany przez uczniów profesor Karol Rydzewski. Był to człowiek cichy, zrównoważony, kochający i rozumiejący młodzież, dobry matematyk, cierpiący na suchoty. Może młodzież intuicyjnie odczuwała przykry stan jego zdrowia, gdyż podczas jego wykładów w klasie zawsze panowała wzorowa cisza. Zwłoki prof. Rydzewskiego przed gimnazjum żegnał prof. Strawiński, a uczniowie w długim szeregu, ze światłem w ręku odprowadzili na wieczny spoczynek.

KAROL DRYMMER

Warszawa, luty 1932 r.

FELIKS CHWALIBÓG

W maju 1930 r. zmarł wybitny, aczkolwiek mało znany pisarz, ś. p. Feliks Chwalibóg. Urodzony w r. 1866 w Jurkowie, studjował filozofję na uniwersytetach w Krakowie i Lipsku. Po licznych podróżach, z których ogłaszał interesujące wrażenia, osiadł w Kielcach, redagując do r. 1915 „Gazetę Kielecką". Po wojnie światowej często umieszczał artykuły literackie, feljetony i nowele w „Gazecie Warszawskiej" i innych dziennikach narodowych. Wydał osobno dwa tomy nowel o zacięciu satyrycznem. Znakomitym był tłumaczem utworów Marka Twaina i Kiplinga. Wiele nowel jego przekładu ogłosiło przed wojną lwowskie „Słowo Polskie".

Zasadniczą cechą ś. p. Feliksa Chwaliboga, jako pisarza i człowieka, była — wytworność. Wyjątkowa kultura literacka, połączona z niemałą erudycją, sprawiała, iż licznym swoim studjom i szkicom, niekiedy nader przenikliwym i głębokim, potrafił nadawać szczególny, jemu jedynie właściwy wdzięk swobodnej, dowcipnej gawędy towarzyskiej. Rasowy szlachcic i ziemianin, posługiwał się też świetną, rasową polszczyzną, zarazem prostą i pełną poloru, bogatą a niewymuszoną.

Najznakomitszem dziełem ś. p. Feliksa Chwaliboga pozostanie niezaprzeczenie zbiór aforyzmów p. t. „Aforyzmy i refleksje" [1]). Oryginalnością myśli, zwartością i precyzją formy, zdołał się on w nich nieraz wznosić na poziom Vauvenargues'a i La Rochefoucauld'a.

Rzadkością były poezje pióra Chwaliboga. Z ostatnich czasów jego życia pozostał nigdzie niewydrukowany jego wiersz, który poniżej na pamiątkę po zacnym człowieku i wysokiej kultury pisarzu podajemy.

---

[1]) Aforyzmy swoje Chwalibóg wydawał własnym nakładem serjami, oddając je na skład główny do Gebethnera i Wolffa. Wyszły cztery serje. Tytuł pierwszych dwóch: „Aforyzmy, refleksje i nowe przysłowia". Serja I wydana 1929, serja II 1930 r. Następne dwie serje mają tytuł: „Aforyzmy i refleksje". Obie serje III i IV wyszły z datą 1930 r. Wszystkie cztery tomiki drukowane u Anczyca i Sp. w Krakowie.

NIECH ŻYJE ŻYCIE!

Niech żyje życie! choć ostre ciernie
Na naszej drodze i gromy burz,
Idźmy wciąż naprzód dumnie, a wiernie
I pośród kolców szukajmy róż.

Spójrzmy dokoła! codzień się iści
Dawniej nieznany wspaniały cud.
Niechaj z Was będą życia artyści,
Co czują radość i znają trud.

Codzień świat nowy i nowe życie
I ziemia nowy zatacza krąg...
Coś się nowego stało w wszechbycie...
I myśmy twórcy! — Nie szczędźmy rąk.

Kto się sam kocha i tylko w sobie
Widzi cel życia i cały świat,
Ten chociaż żywy zamknął się w grobie.
To własny sędzia i własny kat.

Niech żyje miłość! miłość ojczyzny,
Miłość młodości i pięknych lic,
Miłość rodzinna, przyjaźń bez blizny...
Bo bez miłości, świat nie wart nic.

Cześć naszym przodkom! Drogie nam kości!
Lecz niema życia wśród ciągłych łez.
Myśmy przodkami dla potomności.
Obok cyprysów niech kwitnie bez.

Po naszych grobach przejdą też inni...
Czyż w sercach naszych budzi to żal?
Byle spełnili to, co powinni:
Pochodnie biorąc ponieśli w dal...

Niech żyje życie i życia gody:
Miłość i praca, wino i tan!
Kto kocha życie, ten wiecznie młody
I, chociaż biedny, to wielki pan...

FELIKS CHWALIBÓG

PAMIĘCI ZMARŁYCH

Ś. P. KS. TEODOR CZERWIŃSKI.

W d. 1 maja 1932 zmarł w Kielcach b. prefekt gimn. miejscowego, ks. Teodor Czerwiński, prałat, dziekan Kapituły, protonotarjusz apostolski, ostatnio proboszcz Chęciński. Zmarł, po krótkiej chorobie, w zakładzie dla księży emerytów, w 91-ym roku życia.

Kościół miał w nim jednego z najwybitniejszych kapłanów, Polska — dzielnego obywatela. Przeżył wiele generacyj swoich uczniów, a ci, co żyją, chowają w wdzięcznej pamięci tę szlachetną i wielką indywidualność, pełną żywotności, żarliwości ideowej i religijnej, męstwa i patrjotyzmu.

Urodzony 9 listopada 1841 r. w Ćmielowie (w Sandomierskiem) uczył się w Sandomierzu i po ukończeniu seminarjum, wstąpił do Akademji duchownej w Warszawie. W roku 1876 wyświęcony na kapłana, w tymże roku powołany został na stanowisko prefekta w gimnazjum kieleckiem. Zajmował je 22 lata do r. 1899.

W tym roku „obrusitiel" dyrektor Ławrowskij wystosował do ks. Czerwieńskiego pismo, aby uczniowie nie pozwalali sobie na spowiedź więcej razy, jak tylko raz w wielkim poście, w czasie przepisanym przez władze okręgu. Przyczem poleca „surowe wzbronienie uczniom spowiadania się przed księżmi obcymi". Wszystko to pod grozą dymisji. Dyrektor przytem uprzedza, że gdyby z powodu tego rozporządzenia powstały „nieprzychylne dla władz" komentarze, to za nie prefekt będzie odpowiedzialny. Ks. Czerwiński odpowiedział w obszernym liście po polsku. Oto mały urywek:

„Chcesz Pan, żebym powiedział młodzieży, że według kościelnego prawa dla katolików, jak to Pan utrzymujesz, jest ona obowiązana raz tylko na rok spowiadać się i komunikować. Błędnie tu Pan cytujesz prawo kościelne, że fałszować mi je polecasz..."" A wreszcie: „...stanowczo się zastrzegam od jakiejkolwiek za to, co Pan niepotrzebnie przewidujesz, odpowiedzialności. Gdyby nawet były jakieś nieporządki, nie ja je wywołam, ale Pańskie rozpo-

rządzenie, przeciwne wierze i religijnej swobodzie katolików w Państwie"...

Za tę odwagę i patrjotyzm ceniła go młodzież, zwłaszcza po opuszczeniu szkół ze czcią imię jego wspominała. W szkole bano się jego surowości i niezawsze przez to lubiano. Do takich należał i Żeromski, jak wiemy z jego wspominań. Ale ksiądz Czerwiński w „Pamiętnikach" swoich, teraz wydanych, notuje, że na egzemplarzu „Puszczy Jodłowej" Żeromski wypisał mu w dedykacji takie słowa: „Czcigodnemu księdzu Prałatowi T. Cz., z którego ust nie słyszałem przenigdy, przez cały czas pobytu w rusyfikacyjnej szkole, ani jednego rosyjskiego wyrazu, Kochanemu Mistrzowi i Surowemu Nauczycielowi w sprawach duszy — ten skromny upominek, jako wyraz wdzięczności przesyła z prośbą o pamięć i modlitwę — uczeń szkoły kieleckiej Stefan Żeromski, z Warszawy 14.2.1925 r."

W ciągu lat sześciu 1894 — 1900 ks. Czerwiński był delegatem djecezji kieleckiej w Petersburgu, gdzie w paru szkołach polskich dawał lekcje religji. Obsługiwał również w tym czasie kościół katolicki w Gatczynie. Po powrocie zajmował probostwa w Skalmierzu, potem w Chęcinach. Od paru lat z powodu starości usunął się od stałej pracy. Emerytury nie dostał, żył ze skromnych oszczędności, z których większą część przeznaczył na swoje publikacje.

Do końca życia trzymał się zdrowo i rzeźko. Pogrzeb ś. p. Wiktora Jarońskiego, swego ucznia, we wrześniu 1931 r. sam prowadził na odległy cmentarz. W tym roku sumę wielkanocną w katedrze kieleckiej odprawiał. Żywo do ostatka korespondował, zbierając materjały do dalszych części swego pamiętnika.

Z datą 1931 r. wyszły dwa tomiki „Pamiętnika" ś. p. ks. T. Czerwińskiego. Wydane w Kielcach, wykonane w drukarni św. Józefa na Karczówce. T. I (z portretem) str. 58, t. II — str. 102. W przedmowie czytamy:

„Piszę ten pamiętnik nie dla reklamy, ani jakiej korzyści, gdyż niczem nie handluję"... Chlubił się tem, że żadnej swojej książki do księgarni nie oddał. Pisał, aby rozdawać przyjaciołom. Będą wskutek tego te druki rzadkością. Wszystkie niemal drukował na Karczówce. Do większych prac należą, oprócz powyższego „Pamiętnika": „O św. Wojciechu i kościele św. Wojciecha w Kielcach", „O pierwszym rektorze Uniw. Jagiellońskiego Skalbmierczyku", „O kościołach i kaplicach w djecezji kieleckiej", „Żywot Pana Jezusa, Jego Kościół i Papieże", „Skład apostolski dla rodzin" (ostatnie wyd. 1926), osobno wydane przemó-

wienia i wspomnienia o zmarłych kielczanach (7 broszur); z nich wymieniamy: „Dookoła Żeromskiego" (1926), „Wspomnienie o Michale Rowińskim" (filologu), „Dookoła moich przyjaciół" (1931, o W. Jarońskim) i inne.

Do „Pamiętnika" swego dołączył parę utworów wierszowanych, które lubił na starość pisywać. Oto jego uzupełnienie „Roty" przez młodzież śpiewanej:

Nie damy dzieciom wiary kraść
Przez złe bezbożne szkoły!
Choćbyśmy mieli trupem paść —
Próżne wrogów mozoły.
Nie puścim djabła w szkolny próg —
Tak nam dopomóż Bóg!

Żywot ś. p. ks. Czerwińskiego zasługuje na specjalne bliższe poznanie. Łączył się w nim wzór kapłana-szermierza katolicyzmu, patrjoty i wychowawcy. Zajmie poczesne miejsce w dziejach Kościoła i w historji miłych sercu polskiemu Kielc. A tradycja jego długo żyć będzie w sercach, dziedzicznie płonujących dobrem i prawdą z jego posiewu.

*

W „Księdze Pamiątkowej Kielczan", wydanej przez Tomasza Ruśkiewicza w r. 1925, znajduje się (na str. 97 i nast.) fragment pamiętnika ś. p. ks. Czerwińskiego z czasów objęcia przez niego prefektury w Kielcach. Ruśkiewicz zamieścił również korespondencję ks. Czerwińskiego z władzami rosyjskiemi, przynoszącą zaszczyt bohaterskiemu sercu patrjoty (str. 238 i in.). Skończyło się dymisją. O tej dymisji ks. Czerwiński pisze w swoim „Pamiętniku" (t. II, s. 63 i nast.) w ten sposób:

„Ostatnim, za moich czasów, Dyrektorem gimn. kieleckiego był p. Ławrowski, syn księdza unickiego z djecezji przemyskiej, świeży prawosławny człowiek, wykształcony w Wiedniu.

Po rozbiciu jedności politycznej i społecznej Galicji na wschodnią (ruską) i zachodnią (polską) według austrjackiej zasady „divite et impera", na Ruś galicyjską przybywać poczęli rosjanie i ukraińcy z nad Dniepru, w celu jednania sobie rusinów dla prawosławia. Za pieniądze, różni duchowni i świeccy rusini, sprzyjać poczęli Rosji. Osiedlać też zaczęli na różnych pozycjach w Petersburgu, na Wołyniu i Podolu, w okolicach Wilna i w Królestwie, po 1863 roku. Chodziło rządowi rosyjskiemu głównie o to, żeby przez nich osłabić naszych unitów i z czasem sprawosławić ich.

Jako jeden z takich nowych ludzi, począł działać w Kielcach, nowy Dyrektor gimnazjum. Swoją uprzejmością dla młodzieży, urządzaniem zespołów muzycznych i wycieczkami począł ją sobie ujmować, a przez Inspektora, który zjawiać się zaczął na nabożeństwach szkolnych, badał i kontrolował działalność religijną, polską i katolicką, i księdza Prefekta.

Nie podobały mu się okazałe nabożeństwa szkolne z naukami i Komunją św. po kilku albo i kilkunastu uczniów. Postanowił to wszystko ograniczyć, jako zbyteczne, a nawet, według niego, bezprawne! Sądził bowiem, że 4-te przykazanie kościelne nie pozwala częściej, jak raz na rok, spowiadać się i komunikować! I w tym celu, to ustnie to na piśmie żądał ode mnie, żebym zabronił młodzieży, tracić czas na praktyki religijne! Rozpoczęła się nawet na ten temat, korespondencja, nietylko ze mną, ale i z Konsystorzem, która skuteczną dla p. Dyrektora być niemogła — skoro katechizm przyjęty w szkole uczył, że wierni katolicy w niedziele i święta mają obowiązek być na Mszy świętej, do świętych przystępować Sakramentów, chorych nawiedzać i spełniać różne dobre uczynki dla chwały Bożej i dobra swej duszy...

Wyższe władze szkolne z takiego Dyrektora były zadowolone. Trafiały się zaś w tym czasie różne odstępstwa od wiary ze strony różnych naszych urzędników, na które młodzież szkolna po swojemu reagowała!

Zdarzyło się wkrótce, że paru takich odstępców od wiary katolickiej młodzież potrąciła na ulicy i zdrajcami przezwała! Poskarżyli się o to p. Dyrektorowi. Ten zaś, wezwawszy mnie na stronę w gimnazjum, zażądał ode mnie, żebym zato skarcił młodzież szkolną klas wyższych. Zgromadził też w tym celu wszystkich, od klasy 5-ej począwszy, do jednej sali razem z Nauczycielami.

Ogarnął wszystkich nastrój poważny i zaciekawiający. Zdaje mi się, Najmilsi, rzekłem, że wywiążę się należycie z mojego obowiązku i odpowiem życzeniu p. Dyrektora, jeśli Wam przypomnę, że Pan Jezus Zbawiciel świata jedną dla wszystkich ogłosił naukę i jeden założył dla wszystkich i na zawsze Kościół swój. Lecz z ułomności ludzkich, pychy jednych, a zmysłowości drugich, z udziałem polityki różnych rządów, przyszło do tego, że są na świecie różne chrześcijańskie odszczepieństwa, sekty i herezje, rywalizujące ze sobą. To jednak wszystkich zadziwia, że co jeno znajdzie się wśród katolików marnego, gorszącego i niepokojącego, to opuszcza Kościół, i występuje z niego, a co

znowu wśród różnowierców okaże się religijniejszego i poczciwszego — cnotliwszego, to wcześniej czy później jednoczy się z Kościołem katolickim. Jakże się tedy, w tych warunkach, zachować mamy wszyscy, młodzież i starsi? Mamy się modlić, żeby wszystko, co ma być za naszych czasów i wśród nas, było na chwałę Bożą i dobro dusz naszych! Skończyłem.

Ze wzroku p. Dyrektora, utkwionego we mnie, wnosiłem, że rozchodzimy się ze sobą! Było to na początku października 1889 roku.

Poszedł do Apuchtina raport, żądający uwolnienia mię z prefektury.

W parę dni zaszedł drugi podobny wypadek, zakończony uwolnieniem dwóch uczniów z gimnazjum, a mianowicie J. Chróścickiego i A. Urbańskiego.

W kilka dni nadeszło zarządzenie z Kuratorjum, żebym ogłosił młodzieży, że poza Wielkanocą nie mają obowiązku spowiadywać się — czego jeśli w ciągu 5 dni nie wykonam, to ipso facto, natychmiast będzie mi wręczone uwolnienie mię z gimnazjum! Odniosłem się z tem do Konsystorza. Przyszło do korespondencji pomiędzy władzami. A tymczasem termin się kończył.

Na ostatniej lekcji w 7-ej klasie rozpowiedziałem o wszystkiem młodzieży, co zaszło i z nią się pożegnałem, opiece Bożej polecając uczniów, zalecałem im, żeby ze spokojem to wszystko rozważyli i przyjęli, prosząc Matkę Najświętszą o łaski mnie i im potrzebne na dalsze zbożne i patrjotyczne życie.

Przed wieczorem, było to dn. 25.10.1889 r., p. Sekretarz gimnazjum doręczył mi uwolnienie i bieżącą pensję. Taki był koniec mojego szkolnictwa w Kielcach".

*

Na końcu swego pamiętnika ś. p. ks. Teodor Czerwiński wypisał te słowa:

„Ze względu na to, co przeżywamy w wolnej niby Ojczyźnie, z pewnym lękiem wybiegam myślą w przyszłość, czy ona nie będzie zarażona sąsiedzkim bolszewizmem, skoro panoszy się u nas żydostwo, a zjednoczenie nasze polityczne prawie się przekreśla naszem partyjnictwem. W szkolnictwie zasady religijne słabną, zawiązują się zaś czasowe stadła rodzinne, bez sakramentalnego dozgonnego małżeństwa — stąd chyba i życie cnotliwe zanika. A nasze stany społeczne, i w nich przewodzący, zdają się zabie-

rać do odegrania (powtórzenia) koncertu Radziwiłła „panie kochanku", przez orkiestrę państwową, o różnych, dowolnych „kamertonach", i bez jednej batuty nad sobą... Tak jak jest, Najmilsi Ziomkowie, dalej być nie może, i być nie powinno. Daj Najłaskawszy dla nas Boże, żeby coprędzej było inaczej.

Wyjednaj nam do tego niezbędnego ducha, Przemożna Opiekunko narodu polskiego i Pani, wraz ze świętym Józefem patronem chrześcijańskich rodzin".

Ś. P. WIKTOR JAROŃSKI.

W dniu 6 września 1931 r. zmarł w Kielcach ś. p. Wiktor Jaroński.

Był właśnie wtedy w Kielcach zjazd naszych kolegów szkolnych. Na odezwie Komitetu zjazdu widniało nazwisko Wiktora Jarońskiego.

Wiadomość o śmierci Jarońskiego poruszyła do głębi serca przyjaciół; żaden Polak nie przyjmie jej obojętnie, nazwisko jego bowiem znane jest wszystkim z czasów ostatniego przełomu dziejów naszych; każdy, kto go znał, żywo odczuje stratę. Zmarł człowiek, którego się kochało, zasłużony narodowi, niepospolity wytwór kultury polskiej.

Życiorys ś. p. Wiktora Jarońskiego jest krótki. Urodzony w Kielcach 1870 r., tutaj (gdzie urodził się jego ojciec i dziad Józef, sędzia apelacyjny) chował się i kończył szkołę klasyczną (1890). Studjował na wydziale uniwersytetu warszawskiego. Był jakiś czas sędzią pokoju w Niewachlowie pod Kielcami, potem adwokatem. Czterokrotnie wybierany przez ludność miejscową na posła do Dumy petersburskiej, pełnił godnie tę misję do r. 1917. Po powrocie do wolnego już kraju w r. 1918 osiadł w Kielcach i tutaj był sędzią Sądu Okręgowego, a na szerokim świecie politycznym zaginęły o nim wieści.

Od ławy uniwersyteckiej należał do kadrów ówczesnych organizacyj patrjotycznych: do Związku Młodzieży Polskiej, a potem do Ligi Narodowej.

Człowiekowi temu, nie mającemu zgoła pretensji do rozgłosu i stanowisk, danem było odegrać w dziejach narodu wybitną rolę. Posłem był z ramienia stronnictwa Demokratyczno- Narodowego. W r. 1914 powołano go do Komitetu Narodowego. W tym podwójnym charakterze działał po wybuchu wojny w Petersburgu. Członkowie Koła

Polskiego — jako że były wtedy ferje letnie — rozproszeni po kraju i zagranicą, nie stawili się na otwarcie śpiesznie zwołanej Dumy, gdzie Polacy zająć byli winni zdecydowane wobec wojny stanowisko. Jaroński zrozumiał odrazu, że Polacy muszą tam być i wypowiedzieć się. Przebył ciężką chwilę decyzji i nie uląkł się odpowiedzialności.

W dniu 8 sierpnia złożył w Dumie zredagowaną przez siebie deklarację w imieniu Koła Polskiego, a więc w imieniu całego zaboru rosyjskiego, a właściwie Narodu, w tych słowach:

„Moment historyczny nieodzownego zderzenia słowiaństwa z germańskim światem prowadzonym przez Prusy, naszego wroga odwiecznego, uwydatnia tragiczne położenie Narodu Polskiego, pozbawionego niepodległości oraz możności swobodnego ujawnienia swej woli. Tragizm ten polega nietylko na przeistoczeniu kraju naszego w widownię wojny i wszystkich jej okropności, lecz w dodatku na fakcie, iż rozdarty na trzy części Naród Polski ujrzy swe dzieci we wrogich sobie obozach. Mimo podziału naszej ziemi winniśmy stanowić jedną całość przez uczucie i życzliwość dla Słowian. Poza słusznością sprawy dyktuje nam zajęcie tego stanowiska także zmysł nasz polityczny. Światowa doniosłość chwili, którą przeżywamy, musi odsunąć na dalszy plan wszelkie porachunki wewnętrzne. Niech za pomocą Bożą słowiaństwo pod egidą Rosji odeprze Teutonów, podobnie jak pięć wieków temu uczyniły to pod Grunwaldem Polska i Litwa! Oby krew przez nas wylana oraz okropności tej bratobójczej dla nas wojny doprowadziły do zjednoczenia rozerwanego na trzy części Narodu Polskiego"!

Może prezes Koła Polskiego Dmowski (zatrzymany był wtedy zagranicą) sformułowałby w motywach inaczej tę deklarację, ale nikt lepiej nie ująłby istoty rzeczy. Ś. p. Jaroński wykazał w tych paru słowach i serce swoje dla sprawy i rozum stanu i takt, a jeśli się pomyśli o jego ściśle osobistem położeniu, wykazał wielką odwagę. Łatwiej nam dzisiaj orjentować się w zdarzeniach i widzieć linję historyczną Polski, jak się przez te zdarzenia trafnie przebiła, ale w owej chwili krytycznej wszyscy mieli ciemności przed oczyma. Jaroński wiedział, jaką na wiosnę po naradach drogę wytknął Dmowski, ale co do momentu i formy decyzję powziąć musiał sam, biorąc na siebie odpowiedzialność wobec opinji kraju, zupełnie niezorjentowanego politycznie, zdanego jedynie na głos instynktu. Wiedział przecież, jak radykalnie łamie utarte przez wiek XIX hasło walk polskich. Przebył tedy w duszy ciężkie zmaganie, żeby wydobyć z siebie decyzję za głosem odwiecznego Polaka. Przyszedł bowiem czas, który rozstrzygać miał o dziejach całości Polski.

Odezwała się w Jarońskim stara kultura polityczna małopolska zbierających ziemie polskie w jedną całość Piastów. W formule jego można dopatrzeć się barwy romantycznej słowiańskości, która mu się nasunęła jednak ze względów taktycznych. Głównym wszakże momentem aktu była odwaga, motyw etyczny, płynący z poczucia, że trzeba w takiej chwili wziąć na siebie odpowiedzialność, odwaga cywilna, mogąca się mierzyć z bohaterstwami rycerskiemi.

Historja nie szczędzi mu za to uznania. Roman Dmowski w dziele swojem „Polityka Polski i odbudowanie państwa polskiego" pisze o tym jego akcie:

„Nigdy w życiu żaden nasz krok polityczny tak mię nie ucieszył. Przyjaciel mój, poseł kielecki, powiedział w swej deklaracji to, co należało powiedzieć w owej doniosłej chwili. Wypowiedział dążenie nasze do zjednoczenia ziem polskich, postawił program wojny w sprawie polskiej i postawił go w formie, która wytrąciła broń z ręki przeciwnikom wojny germanofilom rosyjskim".

Marjan Seyda w I tomie swego dzieła „Polska na przełomie dziejów" dodaje:

„Lapidarne sformułowanie najistotniejszego postulatu narodu polskiego i śmiałe z nim wystąpienie przed forum rosyjskiej, a zarazem światowej opinji publicznej pozostanie tem większą zasługą Jarońskiego, że nie było wówczas w Piotrogrodzie kolegów jego z Koła poselskiego, tak, że odpowiedzialność spadała na niego samego. Zbyteczne jest udawadniać, że rosyjska opinja publiczna nie była w sierpniu 1914 roku dojrzała do tego, by można było wobec niej wystąpić otwarcie z programem niepodległości Polski". (s. 184).

Dobrym politykiem w potocznem rozumieniu jest ten, kto umie robić posunięcia taktyczne. Ale myśleć o bycie narodu i decydować może tylko ten, kto ma poczucie tragizmu dziejów. W deklaracji Jarońskiego ten moment nie był tylko zwrotem retorycznym. On czuł tragizm chwili — i tu się wyraziła głęboka kultura jego serca narodowego.

Co do tej kultury. Ś. p. Jaroński był świadectwem, że artyzm ją pogłębia, czyniąc duszę wrażliwą na tragizm. Trzeba jednak coś dziedziczyć, żeby artyzm miał co pogłębiać. Dla niego „niepodległość", „zjednoczenie" nie były hasłami sezonowemi, konspiracyjnie ukutemi. On te idee miał we krwi, dziedziczone w instynktach po ojcach, gospodarzach Polski.

Jakież było środowisko ś. p. Jarońskiego?

Ojciec Feliks — muzyk, kompozytor, tworzył piękne dumki i szumki za podnietą pewno B. Zaleskiego, z którym

się poznał w Paryżu. Wychowany w atmosferze Szopena, uczeń Elsnera i Kurpińskiego był romantykiem w muzyce i w życiu. Razem z Andrzejowskim, ojcem żyjącego Józefata, należał do koła Towiańskiego, wierny do śmierci jego wyznawca. Dziad Wiktora, Józef, był sędzią, a bratem był słynnego filozofa w Krakowie ks. Feliksa Jarońskiego (1777—1827), ożeniony zaś był z Juszyńską, siostrą badacza dziejów literatury ks. Michała H. Juszyńskiego (1760—1830). Ojciec Wiktora ożeniony był z Głowacką Stefanją. To znowu łączyło dom Jarońskich ze światem malarskim, bratem bowiem Jarońskiej był słynny w swoim czasie malarz Jan Nepom. Głowacki (1789—1858), druga jej siostra, Anastazja, wyszła za malarza Rafała Hadziewicza (1806—1866), trzecia zaś, Ludwika, była żoną przemysłowca Gropplera w Konstantynopolu, który był ciotecznym bratem Jana Matejki.

Stąd w domu ś. p. Wiktora wiele obrazów, piękne dzieła Matejki (portret Gropplera, który powinien teraz się dostać do Muzeum Narodowego), stąd szczególna atmosfera, którą oddychał całe życie Wiktor Jaroński. Unosiły się w niej pierwiastki romantyki, emigracji paryskiej, towjanizmu, orjentalizmu Gropplerów, zapach farb malarskich Głowackich i Hadziewiczów, zamarłe dźwięki muzyki szopenowskiej w salonach warszawskich z czasów Bogusławskiego, Elsnera i Kurpińskiego.

Jaroński miał świat wewnętrzny, tak pięknie przez wychowanie i z samej atmosfery środowiska wyposażony, że mało wychylał się na zewnątrz i nie miał wcale ochoty walczyć o miejsce dla siebie między ludźmi. Z pobłażliwym uśmiechem patrzył na arenę życiową, jak człowiek, który zna rzeczy lepsze. Umiał żyć z sobą sam na sam i w rozmyślaniach dawać kształty swemu światu idej i tęsknot. Był artystą, któremu nawet zbędną wydaje się osobista twórczość. To go osłabiało w pozycji życiowej, ale w poczuciu własnem wynosiło ponad przeciętność, to dawało mu urok w oczach tych, którzy bliżej go poznali.

Pomyśleć tylko, jak dalekim jest tego typu kulturalny człowiek od możności, nie tylko chęci, robienia kompromisów. Co mu kto mógł dać wzamian za to, co on uważał za wartość życia?

Sprawa narodowa, jako nie dzisiejsza i będąca wielką ideą wcielaną i porywającą życie jednostki w wieczność, mieściła w sobie i jego świat wewnętrzny. To była

jedyna twórczość, która go pociągała, a że stać go było na nią, tego dał dowody w potrzebie.

Zmarł wśród pamiątek, czciciel poetów i ludzi wielkiego lotu, wróg brutalności, entuzjastyczny obserwator dzieła tych, którzy budują cywilizację z ducha i dla ducha.

I nie zszedł ze świata bez śladu. Duch jego wcielił się w budowę gmachu, będącego najwyższą realnością.

Z. W.

Przytaczamy według „Gazety Warszawskiej" opis pogrzebu ś. p. Wiktora Jarońskiego.

Trumna ze zwłokami ustawiona była w kościole św. Wojciecha. Rano 8 września odbyło się tutaj nabożeństwo żałobne. O godz. 5 i pół wieczorem kościół wypełnił się po brzegi. Tłumy publiczności oczekują na cmentarzu kościelnym i poza bramami cmentarza. Trumna tonie wśród wieńców z żywego kwiecia i zieleni. Obok wieńców od najbliższych krwią — od rodziny — wieńce od kolegów i przyjaciół, od stronnictwa Narodowego, od sędziów i prokuratorów, od adwokatury, notarjatu, urzędników sądowych. Ks. infułat Czerwiński, sędziwy prefekt gimnazjalny Zmarłego w asystencji ks. infułata Czerkiewicza, ks. prałata Błaszczyka i licznego duchowieństwa odprawia modły, poczem rusza kondukt żałobny, prowadzony przez ks. infułata Czerwińskiego na cmentarz zamiejski.

Trumnę bierze na barki najbliższa rodzina zmarłego. Za trumną idzie rodzina, towarzysze ideowi zmarłego, sądownicy, adwokaci, notarjusze, wogóle liczne koło inteligencji kieleckiej. Za trumną kroczy przybyły z Warszawy Roman Dmowski. Towarzyszą mu przybyłe z Warszawy delegacje, a w nich pp.: Gościcki, F. Raczkowski, S. Zieliński, M. Niklewicz, dyr. Sołtyk z Radomia i in. Wśród reprezentantów miejscowej inteligencji widzimy profesora Bolesława Markowskiego.

W chmurny, choć suchy wieczór jesienny sunie orszak pogrzebowy przez Kielce. Trumnę cały czas dźwigają na barkach krewni, koledzy i przyjaciele. Ostatnia to posługa.

Nad trumną przemawia pierwszy ks. prałat Błaszczyk, poseł ziemi kieleckiej, Kreśli dzieje prac Zmarłego, rysuje Jego jasną indywidualność. Z kolei w imieniu przyjaciół Zmarłego poświęca Mu serdeczne wspomnienie Feliks Raczkowski, a poseł Stanisław Zieliński żegna ś. p. Wiktora Jarońskiego w imieniu Stronnictwa Narodowego.

*

W Gazecie Warszawskiej z dn. 10 i 11 września Roman Dmowski ogłosił wspomnienie o Zmarłym, które tu w całości przytaczamy:

Wielu ludzi znało, a niewielu rozumiało człowieka, którego szczątki odprowadziliśmy przedwczoraj na cmentarz kielecki.

Ażeby go zrozumieć, trzeba było znać go bardzo blisko, i nietylko jego, ale środowisko i rodzinę, która go wydała.

Środowisko — to Kielce.

Przed odbudowaniem Polski, przed wojną światową to miasto było najbardziej polskiem ze wszystkich miast naszych. Nacisk rosyjski i jego wpływy najsilniej działały na

wschodzie ziem naszych i, posuwając się ku zachodowi, słabły coraz bardziej. Im dalej ku zachodowi, tem mniej mieli pewności siebie czasowi władcy głównej części Polski, tem więcej czuli się niepożądanymi gośćmi, tem całkowiciej pozostawali nazewnątrz życia kraju i jego mieszkańców. Nigdzie ich tak mało nie było widać i tak mało czuć, jak w Kielcach.

Kielce, niegdyś gród biskupi, nie tak dawno jeszcze były miastem wolnem od żydów. Osiedlali się w niem stopniowo, ale znaczne zażydzenie miasta nastąpiło dopiero w ostatnich dziesięcioleciach. I dopiero w ostatnich, już polskich czasach, odebrali mu oni wygląd cywilizowany, ten, nigdzie u nas nie spotykany wdzięk, jaki to prowincjonalne miasto posiadało.

Przyjeżdżając do Kielc i spotykając się z miejscowymi ludźmi, człowiek czuł tu silniejszy związek z przeszłością, z tradycyjnemi podstawami życia polskiego. Ludzie tu i w sposobie myślenia, i w sposobie wyrażania swych myśli pozostawali bliżsi swym ojcom i dziadom.

Siedząca od paru co najmniej pokoleń w tem środowisku rodzina Jarońskich należała do tych bardzo nielicznych w Polsce rodzin, mających od kilku pokoleń ciągłość wysokiego życia intelektualnego. Sądownicy, muzycy — był jeden przed stu laty poeta — doszli do sporego wyrafinowania duchowego, które u nas ludzie tak często udawali, a tak rzadko posiadali. Spadkobiercą tej psychiki był w całym swoim ustroju wewnętrznym zmarły dziś Wiktor Jaroński.

Ojciec jego był towiańczykiem, a bez względu na to, co można powiedzieć o Towiańskim, ktokolwiek miał jeszcze możność spotykać towiańczyków, stwierdzał, że to byli ludzie niezwykle głębocy moralnie, szlachetni, ludzie pełni jakiejś dziwnej słodyczy, prawie święci. Nowe, postępujące obok nich życie nie miało na nich wpływu: pozostali tem, czem byli, do śmierci.

Tak się przedstawia sfera duchowa i środowisko, z którego Jaroński wyrósł i w którem się wychował. I wychował się, można powiedzieć, poza wszelkiemi obcemi wpływami.

Przeszedł wprawdzie szkołę rosyjską, gimnazjum kieleckie. Ale i to gimnazjum było wyjątkowe. Tam przecie, za moich gimnazjalnych czasów, nauczyciele Polacy wykładali uczniom na urzędowych godzinach w gmachu szkolnym, ale poza okiem władzy, kurs dziejów Polski. Tam też działał prefekt gimnazjalny, największy bodaj chara-

kter w naszem społeczeństwie doby popowstaniowej: młodzież nań się często skarżyła, że ją tyranizuje, ale widziała, że umie on jednocześnie tyranizować Moskali. Ten potężny człowiek był postrachem na władzę szkolną i wprost nie pozwalał jej często na to, co gdzieindziej polityka rusyfikacyjna z reguły uprawiała.

To też Kielczanie na uniwersytecie warszawskim w moich czasach odcinali się od innych, jako typ zachowawczy polski, nietknięty wpływami rosyjskiemi i związanym z niemi radykalizmem.

Jaroński chodził do gimnazjum kieleckiego w momencie przełomowym, który odzwierciadla się w „Syzyfowych pracach", Żeromskiego, a w którym i radykalizm, i wpływy rosyjskie zaczynały do młodzieży kieleckiej przenikać. Jaroński należał do ostatnich, którzy przeciw tym wpływom byli opancerzeni — Żeromski do pierwszych, którzy im ulegli.

Pamiętam, kiedy Żeromski, z którym żyliśmy w młodszych latach w przyjaźni, powiedział, że pisze książkę o walce młodzieży polskiej ze szkołą rosyjską. Oczekiwałem z niecierpliwością tej książki: spodziewałem się w niej znaleźć wyraz swych własnych przeżyć z czasów szkolnych. Spotkało mię rozczarowanie. Stwierdziłem, że autor książki sam już uległ duchowemu wpływowi rosyjskiemu, że jego walka ze szkołą jest już nietyle obroną polskiej duszy, polskiej cywilizacji przed wrogiem, który ją niszczy, ile walką z ogólnym uciskiem, tą samą walką, którą prowadzili radykali rosyjscy, walką z „caratem"...

Jaroński nie był materjałem na szermierza tej walki. On pozostał nietkniętą przez wpływ rosyjski polską duszą. A pozostał nią w tej przełomowej dobie niewątpliwie dlatego, że wyszedłszy z takiej a nie innej rodziny, będąc synem takiego a nie innego ojca, otrzymał w swych instynktach, uczuciach i pojęciach tak bogaty spadek, tak harmonijną całość stanowiący, że ze wstrętem odpychał wszystko, coby mogło to bogactwo moralne umniejszyć, tę harmonję wewnętrzną naruszyć.

W Jarońskim zeszedł do grobu jeden z ostatnich, może ostatni przedstawiciel kultury duchowej oświeconego społeczeństwa polskiego z pierwszej połowy ubiegłego stulecia. Od ludzi, żyjących tą kulturą w poprzednich pokoleniach różnił się tylko pojęciami, które wniosła do jego głowy znajomość życia nowoczesnego, na które zresztą patrzył bardzo krytecznie.

W jego indywidualności ta kultura wyrażała się pięknie.

Bezinteresowny, niesłychanie delikatny, subtelny i wykwintny w stosunkach osobistych, dobry, wierny przyjaciel, czujący ciągłą potrzebę wyrażania przyjaźni w czynach, a jednocześnie niezależny, dumny tą szlachetną dumą, która jest jedną z największych zdobyczy cywilizacji zachodniej.

Jego czarujący humor, jego wykwintny dowcip, jego subtelna ironja przyniosłyby mu sławę, gdyby był miał talent pisarski.

Przemawiał zawsze rozumnie, często prostując myśli swych towarzyszy pracy. Czasami, gdy się zapalił, wpadał w styl nie dzisiejszy: mogło się zdawać, że przemawia poseł na Sejm Królestwa Kongresowego.

Czytał wiele i wiele umiał. Przewyższał ludzi swego pokolenia zwłaszcza wykształceniem polskiem, znajomością dziejów i literatury polskiej. Był dobrnym prawnikiem.

Nie odznaczał się ruchliwością i energją, ale miał głębokie poczucie obowiązku i odpowiedzialności i to, co brał na swoje barki, wykonywał z ogromną sumiennością, usiłował wykonać jak najlepiej. Robił to cicho, nie starając się dawać swej pracy rozgłosu.

Zbliżyłem się z nim w Dumie, w Kole Polskiem, którego był sekretarzem: tam miałem możność ocenić go i tam związała nas serdeczna przyjaźń. Była to głowa polityczna: nikt z moich kolegów nie miał takiego, jak on poczucia sytuacji i zrozumienia linji, którą w postępowaniu należało zachować. Jego mocne instynkty polskie rzadko go zawodziły.

Tym instynktom, tej wysokiej inteligencji, jego głębokiemu sumieniu polskiemu, jego odwadze wzięcia dużych rzeczy na swą odpowiedzialność, gdy był pewny, że jest na dobrej drodze, zawdzięczamy, że w chwili, kiedy wybuchła mająca postanowić o losach Polski wielka wojna, będąc prawie sam w Petersburgu, nie mając się o kogo oprzeć i z kim podzielić odpowiedzialnością, złożył w Dumie swą słynną deklarację, która bardzo zaważyła na wypadkach, będąc pierwszym głośnym wyrazem tej polityki, która dała Polsce zjednoczenie i niepodległość.

Jaroński miał słabości i wady, ale takie, które tylko jemu samemu szkodziły.

Była to dusza piękna.

Dla jej charakterystyki jeszcze jedno.

Po wojnie został członkiem Sądu Okręgowego w Kielcach i oddał się z zamiłowaniem pracy sędziowskiej.

Przed jakiemiś ośmiu laty siedzieliśmy w Warszawie w towarzystwie przyjaciół. Był i Jaroński. Ktoś odezwał się, iż należy mu się, żeby został prezesem Sądu Okręgowego. Jaroński zaprotestował energicznie.

— Nigdy! — zawołał. — Prezes to przedewszystkiem funkcja administracyjna. To mię wcale nie interesuje. Będąc sędzią, mam poczucie, że bezpośrednio czynię dobro, że ludziom pomagam w trudnych położeniach, że pracuję nad podniesieniem ich kultury i etyki, że utrwalam w nich poczucie prawa, wiarę w sprawiedliwość państwa polskiego i szacunek dla niego. I sędzią chcę pozostać..

— — — — — — — — — — — — — —

Zbliżał się wieczór, kiedy kondukt pogrzebowy, wyruszywszy z kościoła Św. Wojciecha, posuwał się przez miasto do daleko za miastem położonego cmentarza, do grobu Jarońskich.

Na czele kroczył sędziwy kapłan, pod ciężarem lat pochylony ku ziemi. Głowa duża, zdobna w surową, wyrazistą twarz z rzymskim profilem. Niepospolita postać...

— Któż to jest? — zapytałem idącego ze mną kielczanina.

— To ksiądz infułat Czerwiński.

— Jakto? ten niegdyś prefekt gimnazjum kieleckiego?

— Tak.

— Ileż on ma lat?

— Dziewięćdziesiąt jeden. Sam się ofiarował prowadzić kondukt.

Ogarnęło mię głębokie wzruszenie. Miałem przed sobą wielkiego człowieka, najpotężniejszy bodaj charakter, jaki wydała popowstaniowa Polska, który jedynie skutkiem nieszczęsnych warunków politycznych nie wysunął się na czoło naszego życia. Szerszemu ogółowi pozostał znanym tylko jednostronnie z „Syzyfowych prac" Żeromskiego.

Po skończeniu obrzędu podszedłem do niego, by mu złożyć swój hołd i wyrazić wdzięczność, że w tym wieku zadał sobie trud prowadzenia konduktu na tak wielką odległość.

— Przecie to był mój uczeń — odpowiedział surowo niegdyś kierownik młodzieży.

Mój zmarły przyjaciel, odprowadzony na miejsce wiecznego spoczynku przez takiego księdza, nie mógł mieć piękniejszego pogrzebu.

Roman Dmowski".



MARJAN WILKOSZEWSKI



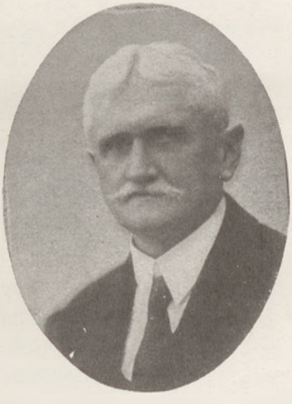
ANTONI HUMNICKI



WIKTOR JAROŃSKI



STEFAN WIELOWIEYSKI



JAN ZAGLENICZNY

Ś. P. MARJAN WILKOSZEWSKI

W dniu 8 listopada 1931 r. zmarł w Warszawie kolega nasz z rocznika 1889 r., członek zarządu Koła Kielczan, ś. p. Marjan Wilkoszewski.

Urodził się dnia 14 października 1867 r. w miasteczku Szczekociny ziemi kieleckiej, jako syn miejscowego burmistrza i działacza społecznego, Leona i Antoniny z Woydów. Po ukończeniu gimnazjum w Kielcach w r. 1889, wstąpił na wydział matematyczny kijowskiego uniwersytetu, a po uzyskaniu dyplomu wyjechał do Paryża, gdzie chlubnie ukończył szkołę nauk politycznych. Po powrocie do kraju, pracuje w Zabłębiu Donieckiem w tamtejszych kopalniach węgla, następnie przenosi się do Odesy, gdzie zakłada niewielką fabrykę brykietów węglowych i przez lat 20 stoi na czele większych kopalń i zakładów hutniczych.

Praca zawodowa nie wypełnia mu życia. W roku 1905 zakłada w Odesie dziennik polski, skupiając w tem wydawnictwie najlepsze miejscowe siły publicystyczne, a kierownictwo powierza znanemu literatowi Sulistrowskiemu. Pismo jednakże wydaje się groźnem dla potęgi niewidzialnego, jak się zdawało, państwa rosyjskiego, zostaje zawieszone, a redaktor naczelny musi opuścić Odesę. Ś. p. Marjan Wilkoszewski nie traci energji. Wydaje czasopismo p. t. „Nowiny polskie", powierzywszy redakcję Janowi Mioduszewskiemu, ale osławiony satrapa odeski, Tołmaczew, i to wydawnictwo zawiesza. Wówczas ś. p. Wilkoszewski wypuszcza skromną jednodniówkę, w której żegna czytelników i przyjaciół swych zamierzeń obywatelsko-publicystycznych.

Gdy w r. 1906 powstała z inicjatywy Henryka Sienkiewicza i mec. Antoniego Osuchowskiego Polska Macierz Szkolna, ś. p. Marjan Wilszoszewki organizuje oddział w Odesie i jednomyślnie powołany zostaje na prezesa tej pożytecznej placówki oświatowej.

Po wybuchu wojny, zmarły działacz powołuje do życia komitet pomocy uchodźcom i inteligencji, dotkniętej z powodu działań wojennych i wytrwale pracuje aż do roku 1918, w którym to roku drogą okólną powraca do wyzwolonej już ojczyzny.

Doszczętnie zrujnowany majątkowo wrócił do kraju (1920). W Warszawie objął stanowisko referenta spraw wschodnich w min. przemysłu i handlu, a po roku przeszedł do min. spraw zagr. Na tym posterunku odznaczał

się fachowością, gorliwością i pełnią inicjatywy. Pomimo nadzwyczaj pochlebnej opinji ze strony przełożonych, padł ofiarą systemu rugów. Był to dla ś. p. Wilkoszewskiego ciężki cios moralny, deprymujący go psychicznie. W związku z tem, powstaje nagły upadek sił i śmierć przedwczesna.

Ś. p. Wilkoszewski, z natury czynny i pełen obywatelskich aspiracyj, nie ograniczał się pracą zawodową i biurową. Chętnie zabierał głos w prasie fachowej w sprawach ekonomicznych i finansowych.

Jako kolega szkolny Stefana Żeromskiego, cieszył się szczególną sympatją autora „Popiołów", z którym pozostawał w zażyłych stosunkach i utrzymywał bardzo ożywioną korespondencję.

Społeczeństwo straciło w nim dzielnego pracownika, obywatela. Znajomi i przyjaciele żegnają w nim człowieka wielkiego serca. Koło Kielczan, z którym ś. p. Marjan Wilkoszewski pozostawał w bliższym kontakcie, złożyło wieniec koleżeński na jego grobie.

Cześć Jego pamięci!

Ś. P. FELIKS KWIECIŃSKI.

W dniu 13 stycznia 1932 r. w Grójcu (Ziemi Warszawskiej) zmarł ś. p. Feliks Kwieciński, jeden z najdawniejszych maturzystów gimnazjum kieleckiego, bo z 1872 roku, członek naszego Koła Kielczan.

Kolega i ostatni maturzysta z tego rocznika 1872 r., czcigodny Karol Drymmer nadsyła do Pamiętnika poniższe wspomnienia pozgonne:

Ś. p. Feliks Kwieciński urodził się 16 maja 1850 r. we wsi Świętomarz Ziemi Iłżeckiej. Rodzice jego byli ludzie niezamożni. Ojciec zajmował skromną posadę w majątkach ziemskich. Początkowe nauki pobierał w Sandomierzu, następnie kształcił się w gimnazjum kieleckiem, które ukończył w 1872 roku.

O własnych siłach skończył gimnazjum, o własnych siłach, w dosłownem znaczeniu tych wyrazów, o głodzie i chłodzie, dąży do dalszej wiedzy. Wstępuje na uniwersytet w Warszawie na wydział przyrodniczy, który kończy ze stopniem kandydata nauk przyrodniczych. Następnie kilka lat pracuje jako nauczyciel na pensjach żeńskich w Warszawie, wykładając z powodzeniem nauki przyrodnicze.

Jednakże zmuszony ciężkiemi warunkami życia i krępowany rusyfikatorskiemi zakusami ówczesnego rządu z Apuchtinem na czele oświaty w Królestwie, przechodzi ś. p. Feliks Kwieciński do Warszawskiego Zarządu Akcyzy. Otrzymuje posadę w powiecie włodawskim i tam cały czas wolny od zajęć obowiązkowych poświęca badaniu flory krajowej, osobliwie roślin skrytokwiatowych. Spostrzeżenia swe ogłosił w Pamiętniku Fizjograficznym. Oto ich spis:

1) Spis mchów, zebranych w 1888 r. w okolicach miasta Białej (gub. siedlecka). (Pam. Fiz. tom X).

2) Spis roślin skrytokwiatowych naczyniowych i jawnokwiatowych, zebranych w r. 1887 na gruntach majątku Woroniec (gub. siedlecka, pow. konstantynowski). (Pam. Fiz. tom IX).

3) Spis mchów i paprotników, znajdowanych w r. 1891 na gruntach majątku Hańsk. (Powiat włodawski, gub. siedlecka). (Pam. Fiz. t. XII).

4) Roślinność gminy Hańsk powiatu włodawskiego. (Pam. Fiz. t. XIV).

Przeniesiony na posadę do Warszawy, a następnie około 1898 r. do Grójca, zostaje w czasie wojny światowej ewakuowany do Rosji. Ostatnie pięć lat przymusowego wygnania spędził w mieście Sudży, kurskiej gub., gdzie przeżył wiele okropności wojny. Widział, po upadku caratu, kolejno: początki bolszewizmu, zajęcie Sudży przez bolszewików, dalej dwukrotne natarcie i opanowanie Sudży przez Denikina i wreszcie ostatecznie zwycięstwo bolszewików-komunistów.

Kolega nasz, ś. p. Feliks, był gorącym patrjotą. Już jako 13-letni chłopiec pomagał, jak mógł, powstańcom 1863 r. Proponowaną sobie posadę dyrektora gimnazjum w sowietach odrzucił, pragnąc przez resztę życia służyć odrodzonej Ojczyźnie, do której, wskutek różnego zbiegu okoliczności i choroby żony, mógł powrócić dopiero w r. 1921.

Niestety, zamiast spodziewanej posady, zaliczony został do grona emerytów.

Ostatnie 10 lat życia spędził w Grójcu, w miejscowości, gdzie stała kolebka Piotra Skargi, i tam 13 stycznia 1932 r. zmarł, aby złożyć swe doczesne szczątki w wolnej, niepodległej Ojczyźnie.

Niechże ta polska ziemia, Kochany Kolego, lekką Ci będzie!

*
* *

Pomimo bardzo ciężkich warunków materjalnych, z jakimi musiało nie na żarty walczyć kilku z nas maturzystów 1872 r., kolega Kwieciński zawsze odznaczał się dobrym humorem, opowiadał żywo, często upiększając dość przesadnie opowiadane zdarzenia, pobudzając obecnych do szczerego śmiechu.

Nigdy nie zapomnę wyjazdu nas trzech maturzystów 1872 r. do Warszawy, a mianowicie: kolegi Ludwika Czyżewskiego, późniejszego lekarza w Pińczowie, kolegi Kwiecińskiego i kreślącego te słowa, późniejszych przyrodników, którzy, po ukończeniu uniwersytetu, zamiast zdobywać w dalszym ciągu wiedzę, a zdobytą dzielić się z młodszem pokoleniem, musieli pilnować wódki, piwa, cukru, drożdży, tytoniu i tym podobnych rzeczy.

Nas trzech, niezbyt obfitujących w mamonę, bo każdy z nas posiadał co najwyżej po kilkadziesiąt rubli, wyjechaliśmy z Kielc, 25 sierpnia, w dzień imienia współtowarzysza podróży, Ludwika Czyżewskiego. Kolei wtedy nie było. Karetka pocztowa, kursująca między Kielcami a Piotrkowem, była niedoścignionem marzeniem, więc wyruszyliśmy w drogę, na Radom, budą żydowską, krytą tylko płótnem, istną arką Noego, kryjącą w swem wnętrzu mnóstwo pakunków i pasażerów. Opuściliśmy Kielce, żegnani przez matki nasze ze łzą w oku, około godziny 10-ej wieczorem. Po dwóch nocach i dniu, spędzonych w drodze, stanęliśmy w Warszawie, rankiem 27 sierpnia, na placu Grzybowskim, gdzie, poraz pierwszy w życiu, stopy nasze znalazły się na bruku warszawskim.

Pogoda była prześliczna. Jechaliśmy Graniczną, Żabią, Senatorską do skromnego ówczesnego Hotelu Litewskiego na ulicy Nowo-Senatorskiej. Ulice te robiły na nas, dla których Kielce było dotąd największem miastem, ogromne wrażenie, lecz jakież zdziwienie nas ogarnęło, gdyśmy znaleźli się na Placu Teatralnym. Z jednej strony ogromny gmach teatru, przed nim fontanna, otoczona roślinnością, obok dwie wysokie kolumny kamienne, zakończone 3 czy 4 ogromnemi kulami szklanemi (lampy), a naprzeciwko tego gmachu jeszcze wyższy ze smukłą, wznoszącą się wysoko wieżą; ten gmach jeszcze bardziej wzbudził naszą ciekawość, nasze zainteresowanie, lecz jakież było zdziwienie, wprost entuzjazm, gdy kolega Kwieciński rzucił wyrazy: „To Zamek Królewski!" Uwierzyliśmy. Oczy biegły w górę, a usta otworzyły się, jakby ten gmach chciały wchłonąć w siebie.

Po kilku dniach nastąpiło rozczarowanie. Zamek zamienił się na ratusz.

Od tego czasu, gdy Kwieciński coś opowiadał, koloryzując nieco według swego zwyczaju, myśmy mu przerywali: „No, przestań, albo raczej mów, jak to w rzeczywistości było!"

KAROL DRYMMER

Warszawa, luty 1932.

Ś. P. STEFAN WIELOWIEYSKI

W dniu 11 listopada 1931 r. w Lubczy (pod Jędrzejowem) zakończył pracowite i pełne zasług życie ś. p. Stefan Wielowieyski.

Syn Adama, prezesa Dyrekcji szczegółowej Tow. Kr. Ziem. w Kielcach i Marji z Błeszyńskich, był wnukiem Henryka Wielowieyskiego, oficera Krakusów w 1831 r. odznaczonego Krzyżem Virtuti Militari. Wielowieyski Adam brał czynny udział w powstaniu 1863 r. Miał więc w domu bogate tradycje służby patrjotycznej.

Wybitne zdolności, wielka obowiązkowość i pracowitość odznaczały Stefana Wielowieyskiego w gimnazjum, które ukończył w Kielcach z odznaczeniem w r. 1883. Prawo studjował dwa lata w Warszawie a kończył je w Petersburgu 1888 r., gdzie jednocześnie odbywał praktykę w Banku Handlu Zagranicznego, a następnie do tego Banku wstąpił.

W r. 1890 wysłano go do Paryża dla zorganizowania filji tegoż Banku, potem przeznaczono go na dyrektora filji banku w Genui.

W 1894 r. Stefan Wielowieyski wraca z żoną i synkiem do kraju. Osiada w Sancygniowie przy teściu Andrzeju Deskurze i z zapałem oddaje się organizacji przemysłu drzewnego, buduje tartak i pierwszy sam lasy eksploatuje, stwarzając jednocześnie źródło zarobku dla okolicy.

Jednocześnie jest jednym z pierwszych w pracy społecznej na terenie powiatu i guberni. Pracuje w komisji asekuracyjnej ogniowej wsi i miasteczek, pracuje w komisji propinacyjnej, jest jednym z najwięcej zasłużonych założycieli i twórców T-wa Rolniczego w Kielcach, należy do orgarnizacji Wystawy kieleckiej, za jego inicjatywą i pomocą powstaje dział handlowy przy T-wie Rolniczem, dla którego wzór statutu układa. Bierze udział w pracach komitetu taryfowego w Petersburgu i opra-

cowuje memorjał, który się przyczynił wydatnie do zmiany traktatu handlowego Rosji z Niemcami (1902—1903). Jest w gronie założycieli pierwszej szkoły polskiej w Kielcach (dawna Szkoła Handlowa).

W 1900 r. osiada w Zaryszynie w sąsiedztwie Sancygniowa i rodzinnej Lubczy, rozwijając dalej twórczą pracę. Wznosi nowe placówki przemysłu w majątku leśnym Krasna — Mniów, następnie słodownię „Lubicha" w Jędrzejowie, zakłady ceramiczne w Odrowążu, wierząc, że tem podnosi ekonomiczny rozwój kraju.

W tych latach przechodzi ciężkie ciosy. W r. 1901 traci ojca, w 1903 umiera Andrzej Deskur z Sancygniowa, w 1904 traci ukochaną żonę Zofję z Deskurów, osierocającą sześcioro dziatek. W 1905 r. wstępuje w powtórny związek małżeński z Jadwigą z Grabkowskich ze Śladowa, wskazaną mu przez zmarłą żonę jako tę, która ma i jego podtrzymywać w dalszem życiu i dzieci nadal wychowywać. I ten związek pobłogosławił Pan Bóg liczną gromadką dzieci, harmonją i wzajemnem zrozumieniem; oboje wychowywali swą dużą rodzinę w tradycjach i zasadach domu chrześcijańskiego, gdzie, jak mówi poeta, krzewią się ideały wiary, cnoty — i miłości i pokoju.

W 1906 r. zostaje wybrany Radcą Dyrekcji Głównej T-wa Kred. Ziemskiego, gdzie jako najbardziej zaznajomiony ze sprawami finansowemi, obejmuje najważniejszy dział buchalterji i rachunkowości. W 1908 r. obejmuje Lubczę i z całym pietyzmem pracuje nad podniesieniem rodzinnego majątku.

W 1909 r. zostaje wybrany posłem do Rady Państwa w Petersburgu. W Radzie Państwa brał udział w komisji finansowej. Uzyskuje tu na budowę wałów wiślanych podwojone kredyty, przyczynia się wielokrotnie do uwolnienia od kar administracyjnych księży z Lubelskiego lub Suwalszczyzny, za ich pełną oddania pracę pasterską i każdemu przyjeżdżającemu w swoich sprawach do Petersburga — ułatwia i pomaga.

Na tem stanowisku zastaje go wojna, którą przepędza na wsi, w Lubczy. Nieprzewidzianie przedłużająca się wojna przynosi mu ciężką troskę o życie dwóch starszych synów, którzy narażeni byli w walkach i z którymi przez cztery lata był rozdzielony. Głęboko religijny, wtedy goręcej jeszcze, miłosiernemi uczynkami i modlitwą starał się wyprosić szczęśliwy powrót synów do rodzinnego gniazda. W 1918 r. Pan Bóg zesłał mu radość powitania synów, wracających z polskiemi korpusami z Bobrujska.

Po wojnie, powraca na swoje stanowisko radcy komitetu T-wa Kred. Ziem. i bierze czynny udział w życiu politycznem. Należał do prac organizacyjnych stronnictwa Chrześcijańskiego Rolniczego, którego był członkiem.

Stefan Wielowieyski był typem ziemianina-obywatela dawnego autoramentu, posiadał w swym charakterze wszystkie cechy czystej rasy polskiej w dodatniem znaczeniu. Posiadał ogromne zrozumienie życia gospodarczego i handlowego, oraz wyjątkową a twórczą inicjatywę i to wprowadzał do wszystkich instytucyj, w których pracował. Sam swojem życiem dawał doskonały przykład pracy, oszczędności i wielkiej energji.

Był hojnym, gdy chodziło o kościół, o chwałę Bożą. W Krasnej ufundował nową parafję. W Jędrzejowie, po zbombardowaniu przez Austrjaków kościoła Wincentego Kadłubka, głównie przyczynił się do odnowienia prastarej świątyni. W Nawarzycach wybudował przy kościele kaplicę Matki Boskiej z Lourdes, dla której miał szczególne nabożeństwo.

Życie jego i praca były do ostatnich lat dla całej okolicy przykładem i dowodem, że dla spełnienia godnie ziemiańskiego zowodu potrzeba siły charakteru i poczucia obowiązku, płynącego z nigdy niewyczerpanej miłości Boga i Ojczyzny.

Liczny zjazd społeczeństwa i tłumy z okolicznych wsi w dniu jego pogrzebu 16 listopada 1931 r. w Nawarzycach świadczyły o tem, jak go kochano, jaki mir w kraju posiadał.

Ś. P. JAN ZAGLENICZNY.

W dniu 22 listopada 1931 r. zmarł w Warszawie ś. p. Jan Zagleniczny, wybitny przemysłowiec, polityk i działacz społeczny.

Urodzony w dniu 4 marca 1866 roku, jako syn ziemianina w powiecie stopnickim, zmarły odbywał nauki w Kielcach i studja techniczne zagranicą, poczem poświęcił się przemysłowi cukrowniczemu, w którym przeszedł kolejno wszystkie stanowiska kierownicze i administracyjne, dochodząc w końcu w tym przemyśle i jego organizacjach do najwyższych stanowisk.

W r. 1920 zmarły wszedł z wyboru do zarządu Związku zawodowego cukrowni b. Królestwa Polskiego, a w dwa lata później powołany został na prezesa tej organizacji go-

spodarczej, w której godność do śmierci piastował. Na stanowisku tem, zmarły prezes wykazał niezmiernie wiele inicjatywy i pracy twórczej, skierowanej przedewszystkiem ku odbudowie zniszczonych w czasie wojny warsztatów przemysłu cukrowniczego i ich rozwoju, mającego tak wielkie znaczenie dla kultury rolnej.

Ś. p. Jan Zagleniczny należał do najczynniejszych przedstawicieli życia gospodarczego kraju. Był vice-prezesem Rady Naczelnej Polskiego Przemysłu Cukrowniczego, vice-prezesem Rady Centralnego Związku Polskiego Przemysłu, Górnictwa, Handlu i Finansów. Członkiem Komitetu Związku Polskich organizacyj rolniczych, vice-prezesem Rady Nadzorczej Banku Cukrownictwa, prezesem Zarządu i Rady Banku Angielsko-polskiego, prezesem zarządu Spółki Handlowej Rady Nadzorczej Sp. Akc. „Polskie Radjo" i innych.

Wybitny fachowiec, dzielny praktyk ,utalentowany współorganizator, zręczny polityk i działacz społeczny, ś. p. Jan Zagleniczny cieszył się ogólnym szacunkiem i uznaniem. Wyrazem tego uznania było powoływanie zmarłego na szereg kierowniczych stanowisk w instytucjach zawodowych i społeczno-państwowych, jak prezesa Rady Państwowego Instytutu Eksportowego, prezesa zarządu Tow. Ochrony Przeciwgazowej, prezesa Rady Ligi Obrony Powietrznej, kuratora Instytutu dla Badań Chemiczno-technicznych, członka Komitetu Muzeum Przemysłu i Rolnictwa i t. p. Trapiąca od dłuższego czasu choroba zmarłego zmusiła go do zaniechania pracy na niektórych z wymienionych placówek.

Zasługą ś. p. Jana Zaglenicznego było to, że jako przedstawiciel polskiego przemysłu cukrowniczego, zdołał nawiązać po wojnie poważne koneksje finansowe poza granicami kraju, a głównie w Londynie i stosunki te do śmierci kontynuował. Otrzymane z tych źródeł, od wielu lat, kredyty na finansowanie kampanij cukrowniczych, mają w naszych warunkach pierwszorzędne znaczenie.

W życiu politycznem zmarły ma również pięknie zapisaną kartę. Już w roku 1905, będąc dyrektorem cukrowni „Model", zostaje wybrany, jako demokrata narodowy, na posła do pierwszej Dumy rosyjskiej, w której przebywał aż do jej rozwiązania. W roku 1917 piastował tekę pierwszego ministra przemysłu i handlu w odrodzonej Polsce, zaś w poprzedniej kadencji naszych izb ustawodawczych był senatorem w obozie Bloku Bezp. Nagrodą jego zasług było dwukrotne odznaczenie orderem „Odrodzenia Pol-

ski", którego wysoką odznakę Krzyża Komandorskiego z Gwiazdą otrzymał na 10 dni przed śmiercią.

Zeszedł do grobu mąż nieprzeciętnej miary, człowiek dużych zalet serca i umysłu. Zgon Jego stanowi stratę nietylko dla gospodarstwa narodowego, ale i dla innych dziedzin życia naszego kraju.

Ś. P. MARJAN LANGE.

Urodził się w r. 1866 w Kielcach i rozpoczął nauki w miejscowem gimnazjum, którego dla braku środków nie mógł ukończyć i był zmuszony wstąpić do wojska.

Służbę wojskową przebył całkowicie w Rosji, nie zatraciwszy, mimo to, ani na jotę polskości, jak niestety tylu innych w tych okolicznościach.

W r. 1914 jako kapitan 265-go pułku piechoty wyruszył na wojnę światową, w której zyskał krzyż św. Jerzego i wiele innych odznak bojowych na obydwu frontach, austrjackim i niemieckim.

Będąc czas jakiś dowódcą garnizonu w Gródku Jagielońskim pomagał dużo, czem mógł, miejscowym Polakom; ochraniał od rozgrabienia majętność miejscowego gimnazjum (bibljoteka, gabinety zoologiczny i mineralogiczny), którą wvchodząc zdał miejscowemu proboszczowi ks. kanonikowi Moczarowskiemu.

Rewolucja zastaje go w Kałudze, jako pułkownika, dowódcę 288 pułku, a potem po rozpierzchnięciu się całej starszyzny, był dowódcą 26 brygady, t. j. całego garnizonu miasta. W tym czasie pomagał dużo uchodźcom z Polski, należał do wszystkich stowarzyszeń polskich, jakie podówczas istniały w Kałudze. W sierpniu 1917 r. wraz ze ś. p. podporucznikiem Mosiewiczem sformował oddział ze 160 ludzi i w całkowitem uzbrojeniu wyprawił do Jelni do 3-ciej dywizji gen. Leśniewskiego, co ten ostatni potem przy przyjęciu pułk. M. Langiego do wojska polskiego poświadczył, napisawszy na podaniu: „Dużo mi pomógł przy formowaniu 3-ciej dywizji strzelców".

Na kilka tygodni przed przyjściem bolszewików do Kaługi wysłał sekretnie do tejże 3-ciej dywizji 4 nowe polowe kuchnie, orkiestrę muzyki i t. p.

Skoro bolszewicy zagarnęli Kaługę pułk. Lange został przez nich aresztowany, jako że nie chciał pozostać w armji czerwonej i wywieziony do Moskwy do więzienia butyrskiego, gdzie przebył 16 miesięcy, cudem tylko uni-

knąwszy śmierci, gdyż zatraciły się akta jego sprawy, w których mu zarzucano, i nie bez słuszności, że był inicjatorem i organizatorem pierwszej obrony miasta przed najściem bolszewickiem — obrony nieskutecznej zresztą, gdyż odrzuceni pierwszy raz, wkrótce przyszli w większej sile i miasto opanowali.

Na początku 1920 r. pułk. Lange powrócił do kraju z pierwszą partją zakładników polskich, wstąpił do wojska polskiego, w którem przebył dwa lata prawie, ale z powodu przekroczonego wieku został zwolniony w stan spoczynku. Zmarł 3-go sierpnia 1932 r.

Był to człowiek nieskazitelnej uczciwości, wielkiej dobroci i delikatności, o czem każdy, kto miał z nim dłuższą styczność mógł się przekonać.

Ś. P. ANTONI GOZDAWA HUMNICKI.

Zmarły w r. 1930 ś. p. Antoni Gozdawa-Humnicki był synem Adolfa, radcy Tow. Ziem. i Małgorzaty z Sulimierskich. Urodził się w majątku rodzinnym Suliszowie, pow. stopnickiego (woj. kieleckie). Gimnazjum ukończył w roku 1888 i wstąpił na Uniwersytet Warszawski, który opuszcza będąc studentem II roku wydz. matematycznego. Jako delegat partji „Związek Robotników Polskich" w r. 1891 przenosi się do Łodzi, gdzie pracuje w fabryce Heinzla i Kunitzera.

W r. 1892 w Łodzi zostaje aresztowany przez władze rosyjskie „za zorganizowanie strajku powszechnego w Łodzi" i tamże uwięziony.

Wiosną r. 1893 przewieziony do X pawilonu cytadeli warszawskiej, a w listopadzie 1894 przewieziony do więzienia przy ulicy Pawiej w Warszawie.

Około N. Roku 1895 wypuszczony z więzienia i zesłany na wygnanie do Rosji środkowej przebywał w Szupi (gub. Włodzim.), Kochmie i Nowkach (gub. Niżegorodz.) i Pawłowskim Posadzie (gub. Moskiew.), gdzie pracował w Rusko-Francuskiej Manufakturze i w r. 1905 został dyrektorem tej fabryki.

W r. 1906 tamże (w Pawłowie) został aresztowany i uwięziony w Bogorodsku, następnie w Moskwie (Butyrki) i skazany na zesłanie do kraju Tuchurańskiego (wschodnia Syberja). Po półrocznem więzieniu i chorobie, ucieka ze szpitala w Moskwie i dostaje się przez Warszawę do

b. Galicji. Tam zamieszkuje we Lwowie, potem w Samborze i Limanowej.

W r. 1908 wyjeżdża na studja do Karlsruhe (Badenja), gdzie w r. 1911 uzyskuje dyplom inżyniera mechanika z odznaczeniem.

Antoni Humnicki przebył więc ogółem 19 lat na wygnaniu i emigracji, z czego 3 lata przesiedział w więzieniu. Pod koniec r. 1911 otrzymał pozwolenie na powrót do kraju i zamieszkał w Warszawie, gdzie w r. 1912 został profesorem Wyższej Szkoły Budowy Maszyn i Elektr. im. H. Wawelberga i S. Rotwanda. W r. 1915 wykłada w Politechnice Warszawskiej, organizuje i prowadzi laboratorjum technologji włókna, następnie w Szkole Budowy Maszyn tworzy laboratorjum wytrzymałości materjałów.

W życiu politycznem podczas okupacji niemieckiej bierze czynny udział: zostaje członkiem Zarządu Klubu Państwowców Polskich, później członkiem Tymczasowej Rady Stanu, zakłada stronnictwo Polskiej Demokracji, w r. 1918 w drugim gabinecie Jana Kucharzewskiego zostaje powołany na ministra Spraw wojskowych, lecz po 2 dniach wraz z całym gabinetem podaje się do dymisji.

W r. 1920 dn. 1 lipca (mając lat 50) wstępuje jako ochotnik do wojska i bierze udział w kampanji przeciwbolszewickiej. Zostaje zwolniony z wojska w listopadzie r. 1920.

Z prac naukowych ś. p. Antoniego Humnickiego wymieniamy:

1) Czesalnaja maszina — Moskwa 1904, wspólnie z Cz. Beinem.

2) Lentocznaja maszina — Moskwa 1904, wspólnie z Cz. Beinem.

3) Zarys teorji samoprząśnicy obrączkowej, Lwów, Czasop. techn., 1907.

4) Układ numerowania w przędzalnictwie bawełny etc., Lwów, Czasop. techn., 1907.

5) Rozbiór krytyczny dotychczasowych teoryj nawijania etc., (wspólnie z M. Ponikierskim), Warszawa, Przegl. techn., 1912.

6) Dźwignice, Lwów, Ossolineum, 1921.

7) Zasady nauki o wytrzymałości materjałów, Lwów, Ossolineum, 1923, str. 334.

8) Części maszyn, wyd. IV, Warszawa, Tow. Kursów Technicznych, 1929.

9) Mechanik, podręcznik do obliczania i konstruowania, T. K. T., wyd. II, 1929.

K R O N I K A

GDZIE POCHOWANY BARTOSZ GŁOWACKI?

Podczas restauracji kościoła katedralnego w Kielcach w 1870 r., byłem uczniem gimnazjum kieleckiego już w wyższych klasach i bardzo często, wraz z kolegami, odwiedzałem i samą katedrę i jej podziemia. Dokładnie pamiętam zwłoki, spoczywające w podziemiach lewej nawy Pana Jezusa, doskonale zasuszone, w trumnie czarnej, na której wieku był napis z metalowych dużych liter, głoszący nazwisko: „Wielopolska" (imienia nie pamiętam). Na głowie trupa włosy, na ciele biała suknia zupełnie dobrze zachowane. Pod główną nawą szczególniej interesowały nas chłopców zwłoki, odziane w szczątki czerwonych szat, kardynała Lipskiego. Pod prawą nawą Matki Boskiej na zwłokach mężczyzny było gniazdo, jak mówiono, kuny czy tchórza.

Ale, aby, pod Ogrójcem w 1870 r., spoczywały zwłoki Bartosa-Głowackiego, a tembardziej zostały przeniesione i pogrzebane na cmentarzu kościelnym od strony zamku, po prawej stronie głównych drzwi kościelnych, pomiędzy dwoma drzewami, o tem nic a nic nie wiem, a przed naszemi oczami uczniów, będących w wyższych klasach, uwagi by to nie uszło, tembardziej, że wtedy, podczas odnawiania katedry, widocznie była mowa o Wojciechu Bartosie-Głowackim, bo sam, co doskonale pamiętam, zaglądałem wraz z kolegami, przez okienko, od strony cmentarza kościelnego, do grobu pod Ogrójcem, lecz nic ani ja, ani koledzy nie widzieliśmy.

Po przeczytaniu w „Pamiętniku Koła Kielczan 1930—1931 r." artykułu p Stefana Raczyńskiego o Bartosie-Głowackim, zaraz (w 1931 r.) napisałem do Grójca, do Feliksa Kwiecińskiego, jedynego mego jeszcze żyjącego kolegi *), z którym byłem w jednej klasie i z którym razem ukończyłem w 1872 r. gimnazjum kieleckie, z zapytaniem, co on wie o przeniesieniu z pod Ogrójca zwłok Bartosa-Głowackiego i o pochowaniu ich na cmentarzu kościelnym. Kwieciński odpowiedział mi, że nie przypomina sobie, aby podobny fakt miał miejsce i że o czemś podobnem nie mógłby zupełnie zapomnieć.

Zapytywałem o toż samo siostry swej, Józefy, młodszej odemnie tylko o rok, będącej wówczas na pensji, dotąd mieszkającej stale w Kielcach, lecz i ta twierdzi, że przeniesienie zwłok Bartosa w 1870 r. z pod Ogrójca na cmentarz kościelny nie miało miejsca.

Od uśmierzenia powstania 63 r. do chwili odnawiania w 1870 r. katedry kieleckiej, ledwie upłynęło kilka lat, więc nie sądzę, a raczej jestem mocno przekonany, aby ówczesne władze rosyjskie mogły się zgodzić na przeniesienie zwłok bohatera narodowego i pochowanie ich na cmentarzu kościelnym, co, niewątpliwie, ogromnie wpłynęłoby na poruszenie patrjotyczne umysłów narodu.

Wyżej przytoczone dane tylko potwierdzają słowa ks. Władysława Siarkowskiego, którego znałem, za którego życia odbywała się w 1870 r. restauracja katedry i on, w pracy swej: „Groby kościoła

---

*) Zmarł 13 stycznia 1932 r.

N. Marji Panny w Kielcach...", wydanej w 1872 r., zaledwie w dwa lata po odnowieniu katedry, nie mógłby przeoczyć tego, na co spoglądałby własnemi oczyma.

Karol Drymmer

Warszawa, marzec, 1932 r.

KS. T. CZERWIŃSKI I ARC. CIEPLAK

Ś. p. ks. Czerwiński z okazji poświęcenia pomnika w Wilnie ks arcybiskupa Jana Cieplaka wystosował do „Dziennika Wileńskiego" list następujący:

„Chwalebny, bądź pozdrowiony!

Okoliczności mego starczego zdrowia i życia tak się układają, że jak przed dwoma laty, podczas pogrzebu błogosławionej pamięci Ks. Arcyb. Wileńskiego Jana Cieplaka, nie mogłem być jego uczestnikiem, i dopiero pod koniec lipca mogłem być w Wilnie i odprawić za spokój Jego duszy osobne w „Bazylice", z dostojną kapitułą wileńską, żałobne nabożeństwo — tak znowu i na dzień poświęcenia pomnika ku Jego czci i w uznaniu Jego zasług, musiałem pozostać w moich Chęcinach, i nie brać udziału w świetnym zespole Najdostojniejszych kościelnych i państwowych dygnitarzy z kolegami i uczniami ś. p. Arbpa Jana, ja, Jego kiedyś prefekt w gimnazjum kieleckiem. Nawiasowo zauważę, że możeby nawet widok fizycznego niedołęgi, mieszał podniosły nastrój uroczystego zgromadzenia?! Boleję nad tem jednak, lecz stało się!...

Rozmyślając o tem w Chęcinach, wyobrażam sobie, że wyjątkowo uroczyste nabożeństwo żałobne, odprawione przy katafalku i pomniku błogosławionej pamięci ks. Arbpa Jana, jarzyło się nietylko światłem liturgicznem i elektrycznem, ale i światłością z zaświatów, dokąd zwracały się z nadzieją i dobrą otuchą umysły i serca czcigodnego zespołu modlitewnego. I jabym wtedy mojemu uczniowi zaśpiewał „Requiem aeternam", przekonany jednak o Jego ubłogosławieniu!.. I jabym po świetnych, jak się dowiaduję, przemówieniach naszego (wielebnego) prałata ks. Ludwika Gawrońskiego i przybyłego z Ameryki, wdzięcznego dla swego ś. p. gościa, ks. Kruczka i jabym, choć bylejaki zabrał głos na uczczenie mojego kiedyś „amabo". Jakoż zabieram:

Najczcigodniejsi Ojcowie, Najpobożniejsi Wierni! Przed nami katafalk i monument z wyobrażeniem bohatera Kościoła świętego i, miłej Ojczyzny niedoszłego Męczennika, rzeczywistego jednak Wyznawcy. Pozwólcie, że się zwrócę do ś. p. Nieboszczyka z krótką ale serdeczną prośbą. Pomnij czcigodny Wyznawco, nietylko o Twojem Wilnie, będącem perłą Ojczyzny, nietylko o kolegach i elewach Twoich z akademickich i profesorskich czasów w Petersburgu, ale i o współkolegach gimnazjalnych i seminaryjnych w Kielcach, gdziekolwiek oni jeszcze żyją, — wspomnij o jedynym już z Twoich nauczycieli, żyjącym Ks. prefekcie Teodorze!

Chlubo Ty moja, Ojczyzny i Kościoła chlubo. U stóp tronu Pana nad pany, powitaj „pochwalonym" duszę ś. p. świętobliwego Twojego kiedyś opiekuna, a mego ziomka, kolegi i przyjaciela ś. p. Walentego Khauna zmartwychwstańca, a mnie grzesznemu, wyjednaj u Boga łaskę nad łaski, łaskę „bene moriendi", dobrej śmierci!... Amen! amen Najmilsi, „tako nam Bóg daj, bychom wszyscy poszli w Raj, gdzie królują Anieli!"...

Ks. Teodor Czerwiński
Prał. Kiel. i prob. w Chęcinach
Proton. Apostolski.

PRASA O NASZYM ZJEŹDZIE

Poseł na Sejm, znany chlubnie w literaturze naukowej i publicystyce Tadeusz Bielecki uczestniczył w zjeździe kieleckim 1931 r. i obszernie o nim napisał w „Gazecie Warszawskiej" (nr. 279 z 9 września 1931 r.). Sprawozdanie swoje poprzedził taką uwagą:

„Rojno i gwarno było w Kielcach 5 i 6 września. Ze wszystkich stron Polski ściągali do ukochanego gniazda wychowańcy szkół kieleckich, na trzeci ogólny zjazd koleżeński.

Zjazdy Kielczan — należy to odrazu podkreślić — mają znaczenie nietylko dla uczestników, ale winny również interesować cały inteligentny ogół polski. Budzą bowiem — obok drogich dla każdego wychowańca, osobistych wspomnień szkolnych — zdrowe ambicje regjonalne.

Poprzez kult swej ciaśniejszej ojczyzny, potęgują udział Kielczan w ogólno-narodowym dorobku kulturalnym; strzegąc swych lokalnych odrębności, wzbogacają naszą twórczość narodową, czynią ją barwniejszą i rozmaitszą, chronią przed zabójczą mechanizacją i nudą. Stąd duża wartość doskonale redagowanego przez wytrawnego pisarza. Z. Wasilewskiego, „Pamiętnika Koła Kielczan", którego tom piąty wyszedł był właśnie niedawno z pod prasy. Nadto organizacje typu Koła Kielczan, wzmacniają węzły braterskie, zadzierżgnięte na ławie szkolnej, tworzą zwarte, karne związki społeczne, które zkolei stanowią trwałe oparcie dla grupy nadrzędnej — narodu".

O NASZYM PAMIĘTNIKU

Znakomity krytyk literacki Adam Grzymała-Siedlecki w nr. 244 „Kurjera Warszawskiego" z r. 1931 pisze w fejletonie p. t. „U regjonilistów" następujące uwagi o „Pamiętniku Koła Kielczan" za r. 1930/31:

„Niech mi wpadnie w rękę jakaś książka o Kieleczczyźnie — natychmiast odrzucę wszelką inną lekturę, by tamto pochłonąć. Czterdzieści pięć lat mija, jak zerwały się więzy między mną, a ziemią proszowską, a Kieleczczyzna tkwi we mnie, jak cząstka mego własnego organizmu.

Kielczanie zresztą umieją krzątać się koło swojego regjonalizmu. Oto nadesłano mi znowu tom piąty „Pamiętnika Koła Kielczan", redagowany wytrawną ręką Zygmunta Wasilewskiego. Koło Kielczan gromadzi w sobie b. wychowańców szkół kieleckich. Jak i inne podobne Koła, spełnia ono swym programem żywotną ideę regjonalizmu intelektualnego. W rozgwarze spornych haseł politycznych i społecznych, w zróżniczkowaniu materjalnem, w odmęcie wszelkich sił odśrodkowych — koła takie uchodzić mogą do pewnego stopnia za latarnie morskie, które we mgle, otaczającej nasz dzień powszedni, wskazują drogę do przystani wspomnień o latach w życiu najpiękniejszych, latach naszej młodości. W tylu sprawach, które nas dzielą, poczucie wspólnej szkoły, poczucie, które tak znakomicie zdało egzamin np. w kulturze angielskiej, łączy jednak, wytwarza solidarność, przypomina o cnocie przyjaźni, koleżeństwa, wspólnoty.

„Pamiętnik Koła Kielczan" ma za zadanie przypominanie kolegom, że ziemia, na której się wychowywali, sroce z pod ogona nie wypadła, że miała swoje dobre karty w dziejach ojczyzny. Ile taki pamiętnik, umiejętnie, z sensem redagowany, może przynieść zainteresowania nie

tylko dla najbliżej zainteresowanych, o tem świadczy choćby ten piąty tom „Pamiętnika", który mam przed oczami.

Na chwałę swojej ziemi pisany jest oczywiście świetny artykuł prof. Juljusza Nowaka: „Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce", jako że gimnazjum to w wieku 16-ym w Pińczowie nad Nidą, w Kielecczyźnie więc powstało, — ale dla każdego, komu nie obojętna sprawa kultury w dawnej Polsce, studjum to może być godziną czytania wprost pochłaniającego. To, co fragmentarycznie po innych dziełach o tym zaprawdę dziwnym, jak na renesans polski, zakładzie rozsiane było, to tu, na regjonalistycznej osnowie zebrało się w całość wiadomości i daje dumą napawający obraz o stopniu oświatowym Polski Zygmunta Augusta.

P. Wacław Jaskłowski zaznajamia nas z „Udziałem województwa krakowskiego w powstaniu listopadowem", a województwo krakowskie ówczesne — nie zapominajmy tego — to właśnie dzisiejsza Kielecczyzna. Cyframi i faktami pokazano w tej pracy, że ziemia Kielczan dobrze się w powstaniu Polsce przysłużyła. Redaktor Wasilewski kreśli głębsze uwagi o pobycie swym wakacyjnym w Górach Świętokrzyskich, a wspomnienia znanego malarza Tadeusza Rybkowskiego: „Ludzie z czasów mojej młodości", poświęcone czasom jego szkolnym w Opatowie i Kielcach, przynoszą nieprzebrany śpichlerzyk motywów, na które każdy powieściopisarz, każdy nowelista powinien się wprost rzucić, jako na nieocenione zanotowanie koloru epoki przedpowstaniowej i typów. Taki choć ks. kanonik Chłuda z Bodzentyna, jakby reinkarnacja legendarnego biskupa Bodzanty, od którego poszła nazwa parafji księdza Chłudy. Ten olbrzym, na „grubszego zwłaszcza zwierza chadzać lubiący", ten siłacz w sutannę obleczony, ten Gargantua dawnych stołów polskich, który „częste niedyspozycje organów trawienia leczył w ten sposób, że spożywał półmisek kaszy jęczmiennej, zalanej obficie olejem rycynowym", a przytem pan z panów i wcale nie prostak, przeciwnie typ oświeconego Polaka — toż to wszystko gotowe niemal figury beletrystyczne".

„PAMIĘTNIK ŚWIĘTOKRZYSKI"

Najwybitnieszem zdarzeniem w literaturze dotyczącej Kielc jest niewątpliwie w latach ostatnich „Pamiętnik Świętokrzyski", wydany w r. 1931 pod redakcją znanego „regjonalisty" Aleksandra Patkowskiego. Jest to olbrzymi tom dużego formatu z 448 stron złożony i bogato ilustrowany. Wydanie luksusowe, nie krępowane objętością, mogło być dokonane tak zbytkownie dla tego, że złożyły się na nie fundusze publiczne: Wydziału Wojewódzkiego w Krakowie, Sekcji Regjonalistycznej Związku Nauczycielstwa Polskiego i Funduszu Kultury Narodowej. Cena książki, stosunkowo niska, wynosi zł. 30.

Pojęcie regjonu rozciągnęła redakcja „Pamiętnika" na całe dzisiejsze województwo kieleckie. Mamy więc w księdze tej nietylko Świętokrzyskie, jakby wnosić można było z tytułu, ale i Miechowskie i Sandomierskie i Radomskie. Mamy tu cały magazyn wiadomości ze wszystkich dziedzin nauki o ziemi, ludziach i kulturze, nawet antologję poezji w związku z Kochanowskim, geografję, zabytki architektury, etnografji. Myśli przewodniej brak i planu. Poszczególne prace jednak mają dużą wartość.

POLICHNO — SZYBOWISKO SZKOLNE POLSKI ŚRODKOWEJ

Uboga wieś Polichno, położona o 3 km. od Chęcin, stała się odniedawna głośną w Kielcach, w Aeroklubie warszawskim i w Ministerstwie Komunikacji. Zjechała tu bowiem we wrześniu 1931 r. akademicka doświadczalna wyprawa szybowcowa, która dowiodła, że wzgórza Polichna są idealnym terenem na szkołę latania bezsilnikowego. Aeroklub porozumiał się z kieleckim Komitetem L. O. P. P. i ustalono, że corocznie od maja do października będą się tu odbywać wyprawy szybowcowe pod kierownictwem jednej lub drugiej organizacji. 29 maja 1932 r. nastąpiło uroczyste otwarcie Szybowiska. Przyleciało 5 maszyn silnikowych, zjechało przeszło 100 aut, zebrał się pięciotysięczny tłum okolicznych mieszkańców i gości z Kielc. Po mszy prezes LOPP, dr. Kroebl otworzył oficjalnie Szkołę Szybowcową, a pilot sportowy Tadeusz Pruszkowski, rektor Akademji Sz. P. rozdał dyplomy pierwszym pilotom tu wyszkolonym. Nastąpiły pokazy lotów, lecz ujęła im wspaniałości bezwietrzna pogoda.

Szybownictwo można uprawiać na płaszczyznach za samochodem lub samolotem, ale lot ze zbocza góry przy odpowiednim kierunku wiatru jest klasycznym lotem Ikara. Jałowe wzgórza chęcińskie, mające niemal wszystkie kierunki wiatru, położone w centrum Polski, nabrały nagle wartości. Zjeżdżają się tu szybownicy ze stolicy, Dęblina, Łodzi i Katowic. W dodatku Polichno już w pierwszym sezonie dało poznać swą nową wartość. Oto w październiku pilot Ciastuła latał nad wzgórzem Zelejowa 77 minut. Dotąd terenem lotów długich, żaglowych, była Bezmiechowa pod Lwowem, zaś Polichno w założeniu miało być szkołą wstępną (loty kilkunastominutowe). Ponieważ godzina lotu jest to minimum do uznania danego terytorjum za szybowisko międzynarodowe, zdatne do żeglowania, więc Polichno może być zarejestrowane jako takie i tu kiedyś będą się mogły odbywać krajowe i międzypaństwowe zawody bezsilnikowe.

Pierwsi zrozumieli znaczenie szybownictwa Niemcy. Pokryto kraj siecią kół, a budżety oświaty i komunikacji mieszczą pokaźne pozycje na propagandę i rozwój tego „sportu". Cudzysłów dlatego, że, jak wszędzie, chowa się za tem kułak odwetu. „Sportowi" piloci szybowcowi w razie potrzeby prędko, łatwo i tanio będą wyszkoleni na pilotów silnikowych i szybko zademonstrują sąsiadom czarną gwiazdę — znak niemieckiej floty powietrznej. Nie tu jest miejsce na zaznajamianie czytelników z istotą lotu szybowego. Zainteresowani znajdą dane w prasie, informacji udzieli każdy student Politechniki. Należy jedynie stwierdzić, że ten nowy, ciekawy sport spełnia niepoślednie zadanie w kształtowaniu charakteru narodowego. Państwa morskie mają wszystkie wspólny rys hartu i siły, wzięty z morza. Obecnie zrozumiano, że lotnictwo uprawiane masowo, (a takiem jest szybownictwo), jest równie potężnym czynnikiem wychowania narodowego jak morze. Z tego względu Kielce mogą się uznać za szczęśliwe, że pod ich okiem trwa i rozwija się szkoła orląt.

Dla miasta Centrum Wyszkolenia Szybowcowego ma pierwszorzędne znaczenie. Wszelkie działanie i ruch jest u nas pożądane; przyległy Radom bije prężnością życia wojewódzkie miasto. Dzięki Polichnu w sezonie szkolnym przejeżdża przez Kielce przeciętnie 300 osób. Korzystają z tego najdoraźniej Chęciny, ale zyskuje i kielecki dorożkarz, hotel, restauracja.

Jednak nieporównanie większa od zysku materjalnego jest korzyść propagandy. Uczestnicy wypraw to młodzież, dla której wszystko, co się zwiąże z lataniem, a więc okolice, ludzie, zdarzenia — jest drogie. Warto do lotniczych, niezatartych wspomnień włączyć Kiel-

ce, — ich zamek, katedrę, marmur i Świętokrzyskie — ich gołoborze, jodłę i piękno. Wspaniałe pole dla działalności Towarz. Krajoznawczego. Poza niem na Polichno powinny zwrócić uwagę szkoły. Trudno interesować się rzeczą nieznaną, więc zaznajomienie się z lotnictwem jest warunkiem wyrobienia sobie względem niego stosunku rzeczowego i uczuciowego. Żwirko w Święcianach śledził loty ptactwa, trzeba dać możność dzisiejszym uczniom kieleckim, aby stali się jego następcami.

A. Zasuszanka.

EPIZOD SZKOLNY Z R. 1891

Za czasów Hurki i Apuchtina życie szkolne ujęto w żelazny rygor przepisów, metodę wynaradawiania przemyślano dokładnie i oddano uczniów pod ścisłą kontrolę szkół. W małych Kielcach, nawet za bramą gimnazjum łatwo było czuwać nad młodzieżą. I tak całe miasto dwa razy dziennie słyszało dzwon, zawieszony u wejścia do dzisiejszego gimnazjum Reja. Rano przypominał o początku lekcyj, a popołudniu dawał znać o godzinie, o której wszyscy uczniowie powinni byli znajdować się w domu. W lecie była to siódma, w zimie piąta. Na dźwięk dzwonu przyśpieszali kroku zapóźnieni łyżwiarze. Karano ich nazajutrz tem ostrzej, jeśli wykryto, że ślizgali się nie na określonych przez szkołę placach, lecz w ogrodzie Jarońskiego. Uczęszczanie tam było specjalnie zabronione ze względu na możność stykania się młodzieży z polskiem społeczeństwem.

W stosunku do mowy ojczystej istniały dwa środki jej zwalczania. W szkole zakaz. „Nie wolno mówić nie po rosyjsku" głosiły napisy. Poza szkołą wywierano moralną presję w kierunku bywania na rosyjskich imprezach. Jeśli do Kielc przyjeżdżała „Lutnia" zdwojone były obserwacje nad stancjami i w teatrze. Polecono natomiast chodzić, a polecenie równało się rozkazowi, na koncerty rosyjskiego chóru artysty Sławiańskiego. Opór młodzieży wobec rusyfikacji był nieustanny i objawiał się absolutną biernością dla zainteresowań rosyjskich. Czasem jednak występowano czynnie, często po młodzieńczemu w sposób nieprzemyślany. Jednym z takich incydentów było przekreślenie afiszu o koncercie Sławiańskiego przez dwóch uczniów 4-ej klasy, obecnego ziemianina z Lubelskiego Kołaczkowskiego i Augusta Popławskiego, znanego obecnie ekonomisty i senatora. Pop stojący w oknie naprzeciwko zawiadomił szkołę. Zwykle w takich wypadkach uczniów karano, a na stancję zwracano baczną uwagę, sprawdzając jej skład, orjentację opiekuna, tryb życia młodzbieży. Nierzadko internat zamykano.

Tym razem chłopcy mieli za kierownika i wychowawcę nauczyciela matematyki Stanisława Szperla. Obaj odpokutowali mocno swój wybryk, ich opiekun szczęśliwie dostał tylko „bumagę", z nader charakterystycznemi pouczeniami wychowawczemi zrusyfikowanego dyrektora Ławrowskiego. Pismo to znajdujące się dziś w rękach syna prof. Ludwika Szperla przytaczamy tutaj w całości w dokładnym przekładzie z rosyjskiego:

„Ministerjum Oświecenia Publicznego. Warszawski Okręg Szkolny. Dyrektor męskiego gimnazjum kieleckiego, Nr. 906. Poufnie. Do pana emerytowanego nauczyciela Rady Stanu Stanisława Szperla.

W dn. 1 listopada o godz 3 po południu dwaj uczniowie mieszkający u Pana na stancji, a mianowicie uczniowie kl. IV Popławski i Kołaczkowski przekreślili w różnych kierunkach naklejony na gmachu

Izby Skarbowej afisz, zapowiadający koncerty znanego rosyjskiego artysty Sławiańskiego. Postępek ten świadczy o złem wychowaniu i więcej jeszcze o złym kierunku pomienionych uczniów, pozostających pod Pana bezpośrednim dozorem. Okoliczność ta w związku z nieładnym (niebłogowidnym) postępkiem w roku ubiegłym ucznia kl. VI Karwickiego, który mieszkał na Pana stancji, pozwala przypuszczać, że na sprawę wychowania na Pana stancji nie jest zwracana należyta uwaga.

Wskutek tego mam zaszczyt najpokorniej prosić „Wasze Wysokorodje", aby Pan wzmocnił dozór nad powierzonymi Pana opiece wychowańcami, a przytem bacznie (zorko) wglądał w to, jakie książki czytają, jakie rozmowy prowadzą i czy niema między nimi kogoś, kto szkodliwie wpływa na ich sposób myślenia, — i co najważniejsza — aby Pan w częstych ojcowskich naukach i poważnych rozmowach, oddziaływujących na ich przekonania — wpływał na poprawę kierunku ich myśli w duchu dla szkoły pożądanym.

Przytem uważam za obowiązek dodać, że w razie powtórzenia się faktu, świadczącego o szkodliwym kierunku któregokolwiek ucznia z pańskiej stancji, stancja ta będzie zamknięta.

Dyrektor gimnazjum M. Ławrowskij.

TABLICA KU CZCI ŻEROMSKIEGO

W październiku 1932 r. wmurowano uroczyście w frontową ścianę gimn. im. Reja tablicę ku czci Żeromskiego. Projekt dało Kółko historyczne szkoły. Na płycie z piaskowca znajduje się u góry owalna metalowa płaskorzeźba, przedstawiająca twarz pisarza w ostatnich latach życia, a pod tem napis: „Stefanowi Żeromskiemu ku uczczeniu jego lat szkolnych, spędzonych w tych murach, młodzież gimnazjum im. M. Reja w Kielcach. 1932".

ODCZYT O SANDOMIERSKIEM

W dn. 15 listopada 1932 r. na zebraniu Koła Sandomierzan w Warszawie, p. Aleks. Patkowski wygłosił odczyt o Sandomierskiem. Nakreśliwszy granice starej ziemi sandomierskiej, uwypuklił jej cechy charakterystyczne i bogactwa przyrodzone, ukazał moment przybycia człowieka, oraz pierwsze przejawy jego materjalnej i duchowej kultury, zatrzymując się dłużej nad ciekawszemi zabytkami wczesnego budownictwa kościelnego. Prelekcję swą zakończył p. Patkowski podkreśleniem polskości Sandomierskiego i uwydatnieniem siły sentymentu, jakim sandomierzanie darzą swą ziemię.

Odczyt ilustrowany był licznemi przezroczami, z których na wyróżnienie zasługiwały trzy nieznane ryciny, przedstawiające stary a piękny Sandomierz.

NOWA PLACÓWKA KULTURALNA

W lecie 1932 r. powstała w Kielcach na ul. Leonarda nowa księgarnia, prowadzona ze zrozumieniem potrzeb intelektualnych miasta przez długoletniego pracownika księgarskiego i entuzjastę swego fachu, Stanisława Króla.

K O Ł O K I E L C Z A N

SPRAWOZDANIE ZARZĄDU KOŁA KIELCZAN

przyjęte przez Walne Zgromadzenie w dn. 18 marca 1932 r.

1. Ogólne.

W roku sprawozdawczym 1931 w liczebnym stanie Koła zaszły następujące zmiany:

	było	przybyło	ubyło	pozostało
Członków miejscowych	78	5	6	77
„ „ zamiejscowych	36	19	2	53
	114	24	8	130

czyli liczba członków powiększyła się o 16.

W liczbie ubyłych członków zmarło 7, a mianowicie: 1) Marjan Wilkoszewski, 2) Stefan Wielowieyski, 3) Wiktor Jaroński, 4) Jan Zagleniczny, 5) Władysław Żywicki, 6) Kazimierz Grabowski, 7) Feliks Kwieciński.

Na posiedzeniu w dniu 8 marca 1931 r. Zarząd ukonstytuował się w sposób następujący: prezes — p. Stefan Raczyński, vice-prezesi — pp. Zygmunt Wasilewski i Jan Zydler, skarbnik — p. Edward Zienkowski, sekretarz — p. Kazimierz Barański, członkowie — pp. Jan Samsonowicz, Stanisław Frycz, Karol Taylor i Bronisław Wyszyński.

Na posiedzeniu Zarządu w d. 15 listopada 1931 r. kolega Raczyński zgłosił swe ustąpienie z Zarządu, wskutek czego wybrano na prezesa kolegę E. Zienkowskiego i na skarbnika kolegę Karola Taylora.

W powyższym składzie Zarząd w miarę rozporządzalnych skromnych środków starał się rozwijać swą działalność. Odbyło się 6 posiedzeń Zarządu, jedno zebranie referatowe, na którem p. Nowak wygłosił bardzo interesujący referat o miasteczku Rakowie w XVI i XVII w. jako o stolicy polskich arjanów, oraz jedno zebranie towarzyskie.

W dniu 6 września 1931 r. odbył się w Kielcach zjazd

b. wychowanków szkół kieleckich, z którego sprawozdanie poniżej podajemy.

. . . .

W związku z tym zjazdem został wydany pamiętnik Koła Kielczan za lata 1930—1931. Jest to już V tom tego wydawnictwa.

Wydrukowano 500 egzemplarzy pamiętnika kosztem 1.969 zł. 20 gr., rozeszło się 300 egz., a strata wyniosła 1.145 zł. Pomimo tak ujemnych rezultatów finansowych Zarząd uważa wydawanie pamiętników za jedno z najważniejszych swych zadań, gdyż oprócz tego że pamiętniki są łącznikiem między kolegami Kielczanami, rozproszonymi po kraju, stanowią dość poważny przyczynek historyczny do dziejów ziemi kieleckiej, dowodem czego pochlebne głosy krytyki o tem wydawnictwie oraz to, iż dawniejsze tomy pamiętnika, będące już na wyczerpaniu, są obecnie poszukiwane dla celów naukowych.

Celem nawiązania i utrzymywania bliższego kontaktu z młodem pokoleniem Kielczan nastąpiło porozumienie z tutejszem akademickiem Kołem Ziemi Kieleckiej o delegowaniu ich przedstawicieli na nasze zebrania i wzajemnem udziale naszego przedstawiciela no ich zebraniach. W myśl tego Koło Akademików pismem z d. 11 lutego r. b. zawiadomiło, że przedstawicielem Koła Akademickiego został wybrany p. Juljan Mierzejewski, zaś w zebraniach Koła Akademickiego będzie brał udział z naszej strony prezes Zarządu lub jego zastępca.

Nadto według otrzymanej wiadomości na zjeździe ogólnopolskiego Związku Akademickiego Kół prowincjonalnych w dniu 6 marca r. b. uchwalono, ażeby Koła prowincjonalne starały się nawiązać kontakt z odnośnemi organizacjami starszych pokoleń.

2. F i n a n s o w e.

Dochody:			
składki człon. miejscowych	zł.	1.127,—	
„ „ zamiejscowych	„	1.460,—	
ofiary	„	249,80	
różne	„	24,56	zł. 2.857.36
Wydatki:			
kancelaryjne	zł.	844,47	
stypendja	„	1.200,—	
zapomogi	„	200,—	
wydawnictwo	„	1.145,—	„ 3.389,47
Nadwyżka wydatków			zł. 532,11

Bilans.

Akt.		Pas.	
gotówka w kasie	—		
konto w P.K.O.	zł. 660,63	zadłużenie	—
1 szt. pożyczki dol.	„ 53,—	majątek	zł. 713,63
	zł. 713,63		zł. 713,63

Protokół Komisji Rewizyjnej.

Niżej podpisani członkowie Komisji Rewizyjnej po sprawdzeniu dochodów i wydatków Koła stwierdzają ich zgodność z dowodami i księgami kasowemi za rok 1931 i wnoszą o pokwitowanie Zarządu.

(—) ST. MITRASZEWSKI, WITOLD STEFAŃSKI.

Warszawa, dn. 12.II.1932.

SPRAWOZDANIE Z III ZJAZDU KOŁA KIELCZAN W dn. 5 i 6 września 1931 r.

Po nabożeństwie w kościele św. Trójcy, na którem wygłosił kazanie ks. Czerwiński zebrano się w sali gimnazjum im. Śniadeckiego. Zjazd otworzył prezes środowiska warsz. Stefan Raczyński, podkreślając w przemówieniu zasługi Bolesława Markowskiego, który piastując przez 5 lat (1926—31) godność prezesa Koła był jego duchem twórczym, pogodnym i niestrudzonym. Do honorowego prezydjum wchodzą: ks. Czerwiński, B. Markowski, J. Andrzejowski i K. Drymmer. Przewodniczącym obrano J. Zydlera, asesorami K. Taylora i A. Franka.

O głos prosi przedstawiciel Akademickiego Koła Ziemi Kieleckiej, student U. W. Emil Zaremba. W krótkiem przemówieniu składa hołd życiu i czynom prof. B. Markowskiego, opiekuna i wypróbowanego przyjaciela młodzieży. A. K. Z. K. składa bukiet.

Pierwszy punkt porządku dziennego — sprawozdanie z działalności Koła za ostatni okres składa B. Markowski. Treść wewnętrzna Koła: umiłowanie miejsca i koleżeńska spójnia tworzą jedną z więzi życia społecznego. Zewnętrznie wyraża się to należeniem do Koła 224 osób, co stanowi trzecią część żyjących wychowańców gimnazjum rosyjskiego i szkoły handlowej (do 1918 r.). Choć zjazd skupił zgórą 100 członków, co ze względu na kryzys jest

liczbą pokaźną, mówca z żalem stwierdza mały dopływ nowych członków. Przedstawiwszy stan liczebny Koła, B. Markowski podaje szczegółowe dane z jego działalności (zebrania referatowe i towarzyskie, stypendja, wydawnictwo Pamiętnika [1]).

Włodzimierz Bzowski w formie uwagi do sprawozdania zapytuje, czy nie należałoby w następnym roczniku umieścić listy Kielczan, poległych w ostatniej wojnie. Prof. Markowski objaśnia, że byli to Kielczanie najmłodsi, którzy przeważnie do Koła nie należeli. Jednak z racji swego założenia: informować członków o wszystkiem, co się dzieje i działo w Kielcach, redakcja Pamiętnika skompletuje z czasem wiadomości o ostatnich rocznikach i, sprawdzając je, dojdzie do zredagowania listy poległych.

W dyskusji nad sprawozdaniem zabierali głos: red. Wasilewski, Jaskłowski, Zydler i Piotrowski. Najciekawsze przemówienie red. Wasilewskiego omawiało istotę regjonalizmu Koła Kielczan. Istnieje wiele regjonalizmów: gospodarczy, przemysłowy, polityczny i t. d. Koło uprawia regjonalizm humanistyczny, najrzadziej dzielący ludzi. Wiązadłem między członkami jest życie umysłowe i uczuciowe, które jest jednocześnie najwyższym celem organizacji. Przez uprawianie regjonalizmu humanistycznego Koło Kielczan staje w rzędzie cennych czynników, tworzących kulturę i życie społeczne narodu. W związku z ambicją skupienia w słowie: Kielce ruchu-umysłowo-uczuciowego przedniej jakości nasuwa się mówcy ważna kwestja skupienia działalności Koła Kielczan w samych Kielcach, a nie jak dotychczas w Warszawie. Centralizowanie życia intelektualnego i społecznego w większych miastach osłabia środowiska prowincjonalne, które marnieją, choć mają wszelkie możliwości stania się prowincją tak żywą i pulsującą, jak to jest z wieloma miasteczkami Francji.

W końcu swej przemowy red. Wasilewski stawia wniosek, przyjęty jednogłośnie, o popieraniu przez Kielczan intelektualnego życia Kielc i o przeniesieniu tu redakcji Pamiętnika.

Snując konsekwentnie myśl przedmówcy Wacław Jaskłowski omawia konieczność istnienia objektywnej, wartościowej prasy prowincjonalnej. Redaktor Gazety Kieleckiej Piotrowski proponuje utworzenie w Kole specjalnego Komitetu prasowego. Przewodniczący oddaje tę sprawę pod rozwagę zarządu delegatury.

---

[1]) Sprawozdanie to znajduje się w V t. Pamiętnika za r. 1930—31.

Z kolei prof. Markowski odczytuje nadesłany Zjazdowi projekt Koła historycznego przy gimn. im. Reja, które pragnie w swej szkole wmurować tablicę ku czci Żeromskiego. Zebrani akceptują wniosek o zebranie doraźnej składki, która dała pewną kwotę. Przewodniczący odczytuje nadesłane 20 depesz od nieobecnych. Pogodę Zjazdu mąci żałobna wieść o zgonie Wiktora Jarońskiego, którego jeszcze poprzedniego dnia odwiedzili najbliżsi koledzy. Po uczczeniu jego pamięci przez powstanie Zjazd wybiera delegację na pogrzeb.

Na tem kończy się część sprawozdawczo-dyskusyjna Zjazdu. Po przerwie wygłaszają referaty: prof. Kazimierz Tymieniecki i prof. Bolesław Markowski (obie te prace zamieszczamy wyżej w niniejszym roczniku. Przyp. Red.). Komunikat o trzech popołudniowych wycieczkach: Karczówka, Stadjon, Miasto kończy oficjalną partję Zjazdu.

*

Rząd dorożek wyciąga się z placu Wolności. Aleją Karczówkowską jadą ci, których sentyment szuka dawnego pokarmu oczu i uszu, szuka uroku tej, jakże dawnej a jakże bliskiej — młodości. Na stadjon udają się inni, raczej tacy, co chcą widzieć Kielce rosnące. Jedzie się wygodną dobrą drogą cmentarną, a potem szosą na prawo w las, który szaremi gładkiemi pniami jodeł otoczył dekoracyjnem półkolem stadjon - park, rzecz ostatnio w Kielcach najpopularniejszą. Wielkość jego, 75 ha nie ma konkurencji w kraju. Gotowe są korty, strzelnica, skocznia narciarska, tor wyścigowy, tor do konkursów hippicznych, jakie często i ciekawie urządza 2 pułk artylerji [1]). Latem wykorzystują stadjon liczne obozy harcerskie, szkolne, P. W., rozbite na przyległych wzgórzach, zaś w dni świąteczne jest on celem całodziennych wycieczek kielczan, z których szczególnie Żydzi umieją korzystać z żywicznego powietrza, obozując tu setkami.

Jesteśmy u stóp narciarskiej skoczni. Nie weszliśmy na nią, bo to i wiek i tusza. Lecz i stąd widać rozległą panoramę miasta; czerwienią się przed niemi rozpadliny Kadzielni, zielenią dwa cmentarze. Znam każdy dom i dach i drzewo Kielc zbliska i zdaleka, nawet z góry, więc zgoła niewinnie egzaminuję wycieczkowiczów. I, o dziwo,

---

*) Bieżącego lata cały wysiłek skierowano na budowę boiska z bieżnią i otwartej pływalni o wodzie przepływowej.

ci ludzie od lat mieszkający w stolicy, Lublinie, Poznaniu orjentują się, porównują, robią rzeczowe uwagi.

— Ach — no to przecież pamiętają, chcą pamiętać o mieście zagubionem w świadomości tylu kielczan z zamieszkania, a utrwalonem w świadomości ich — Kielczan z przekonania.

Widać: miasto rośnie. Powoli, ale nieustannie wypuszcza na wszystkie wzgórza linje ulic i alej. Jałowość przygórek rozjaśniła się bielą i czerwienią szpitala dla dzieci zakaźnych, jednego z pięciu w kraju. Barwinek, Kawęczyzna, to już nie wsie, a przedmieścia. W stronę Białogonu domki, choć najbiedniejsze, są już na linji kirkut — szosa. Owiewa nas mocny dech jodłowego lasu. — Jakąż kieleckie byłoby cudną miejscowością letniskową — słychać djalog doktora i architekta — gdyby nareszcie rozplanować budowę willi na przeciąg lat i zareklamować Polsce nieuznaną wartość Świętokrzyskiego.

Liljowy wrzos dekoruje wracających w szarej mgle jesiennego zmierzchu. Za godzinę, wieziony pod powiekami daleki, siny krajobraz ustępuje miejsca rzęsiście oświetlonej sali Resursy. Tu wczoraj wieczorem gromadzili się przed zjazdem. Stawali w drzwiach, przebiegali wzrokiem kilkanaście grup. Nagle szybki krok do najbliszych sercu, a w oczach roziskrzała się radość, zdziwienie, żal: to Ty! albo: to Ty..., albo: to Ty? Ruch się zwiększył, gdy przybyła Warszawa, komplet przywieziony specjalnym wagonem przez p. Franka. Dziś ten sam wagon gotowy do powrotnej podróży. Koleżeński obiad jest jednocześnie pożegnalnym. Przemówienia, toasty. W międzyczasie niespodziewana i zbyteczna aparycja Icka. Sprytny był ten najpopularniejszy wśród uczniów handlarz książek i ubrań. Teraz wygrywa atut związania się z młodością członków Koła, atut uczuciowy, choć, doprawdy sam nigdy się sentymentem nie kierował.

O 9-ej zaczynają się pożegnania. I już wszystko potem da się streścić w djalogu:

— Odjeżdżać to znaczy potrochu umierać...

— Nie! żegnamy się, by witać!

A. ZASUSZANKA

WYDAWNICTWA KOŁA KIELCZAN

Księga Pamiątkowa Kielczan 1856 — 1904. Cena zł. 7.50

pod redakcją Tomasza Ruśkiewicza.

Treść: Zjazd 1924 r., oraz odczyty: A Rybarskiego Historja szkół kieleckich i Z. Wasilewskiego. — Wspomnienia: ks. Czerwińskiego, Drymmera, F. Rybarskiego, Dowiakowskiego, Stefana Żeromskiego, Wiśniakowskiego, Laskowskiego, Borkowskiego, Szczepanowskiego, Świerczewskiego. Życiorysy zasłużonych profesorów i wychowańców. — Spisy maturzystów i profesorów z życiorysami.

PAMIĘTNIK KOŁA KIELCZAN

pod redakcją. Zygmunta Wasilewskiego.

Tom I za rok 1927. Cena . . . . zł. 4.—

Treść: Sprawozdanie Koła 1925 — 1927. Statut. Lista członków. — Szkoła Handlowa i jej maturzyści. — Pamięci zmarłych. Życiorysy Ruśkiewicza, Żeromskiego, Rowińskiego, Łuszczkiewicza, Koziorowskiego, Domosławskiego i Świecimskiego. — Wspomnienia: Franc. Pantoczka, Zygm. Wasilewskiego, Lud. Skorupki, E. Zienkowskiego.

Tom II za rok 1928. Cena . . . . zł. 6.—

Treść: O idei Pamiętnika. — Zjazd koleżeński 1927. Lista członków Koła Kielczan. — Życie umysłowe przed maturą, p. Z. Wasilewskiego. — Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, p. B. Markowskiego. — Historja górnictwa żelaznego na zboczu północnem gór Świętokrzyskich, p. J. Samsonowicza. — Wspomnienie o muzyku Feliksie Jarońskim, przez Z. W. Kronika.

Tom III za rok 1929. Cena . . . . zł. 6.—

Treść: Z dziejów gospodarki miejskiej w Kielcach, przez B. Markowskiego. — O Wojciechu Bartosie Głowackim, p. St. Raczyńskiego. — Kościół św. Trójcy, p. ks. Zdanowskiego. — Żeromski w roli prokuratora, p. Z. Wasilewskiego. — Patrjota, p. G. Wędrychowskiego. — Syzyfiana, p. J. Nowaka — Kronika i in.

Tom IV. za r. 1930-31. Cena . . . . zł. 6.—

Treść: Po pięciu latach. — Udział województwa Krakowskiego w powstaniu Listopadowem, p. W. Jaskłowskiego. — Pierwsze gimnazjum humanistyczne w Polsce, p. J. Nowaka. — Ludzie z czasów mojej młodości, p. T. Rybkowskiego. — Święta Katarzyna, p. Zygm. Wasilewskiego. — Uczeni Kielczanie (K. Taylor, L. Szperl, St. Glixelli, E. Taylor, K. Tymieniecki). — O „Górce" i jej twórcy, p. L. Szperla. — Przyczynki historyczne. — Kronika i in.

Członek Koła Kielczan, nabywający „Pamiętnik" za r. 1932, może nabyć wszystkie 5 tomów za zł. 20.— (zamiast zł. 29.50), luźne zaś tomy, ktoby ich potrzebował do skompletowania, za cenę: „Księgę" — za 6 zł., tom I „Pamiętnika" za 3 zł., następne tomy po 5 zł. (zamiast 6 zł.). W tych cenach mieści się i koszt przesyłki.

Należność wysyłać należy czekami na P. K. O.: Koło Kielczan Nr. 12.310.

PRO MEMORIA

W sprawach dotyczących Koła Kielczan można porozumiewać się w Warszawie z prezesem Zarządu Koła Kielczan, Edwardem Zienkowskim, Kapucyńska 3. Z oddziałem kieleckim Koła korespondować można pod adresem Bol. Markowskiego — Kielce, ul. Śniadeckich 36.

Składki i należności za wydawnictwa przesyłać należy czekami na P.K.O. w Warszawie: Koło Kielczan Nr. 12.310.

U skarbnika nabywać można wydawnictwa Koła Kielczan: Księgę Pamiątkową i roczniki Pamiętnika. Ob. wyżej ogłoszenie.

Każdy, kto uczęszczał do szkoły kieleckiej od najdawniejszych czasów do ostatnich, bez względu czy wyszedł z maturą, czy opuścił szkołę wcześniej, powinien zapisać się do Koła Kielczan. Wpisowe wynosi 5 zł., składka miesięczna 2 zł. Statut Koła ogłoszony w Pamiętniku za r. 1927, spis członków w roczniku za r. 1928.

SPIS RZECZY